

# Gateway 5 - Kupcy Wenusjańscy

Frederik Pohl



calibre 0.9.27

Frederik Pohl

Kupcy Wenusjańscy

(Przełożył : Juliusz Garztecki)

# I

Nazwisko: Audee Walthers. Zawód: kierowca kapsuły powietrznej. Na Wenus przez większość czasu mieszkam w moim domku Hiczich, a jeśli jestem śpiący, to gdzie popadnie.

Do chwili, gdy skończyłem dwadzieścia pięć lat mieszkałem na Ziemi, głównie w Amarillo Central. Ojciec - wice-gubernator Teksasu. Zmarł, gdy byłem jeszcze na uczelni, ale zostawił mi po sobie tyle, bym mógł skończyć szkołę, zrobić magisterium z administracji przedsiębiorstw i zdać egzamin na urzędnika-stenotypiste. Byłem więc przygotowany do życia.

Po próbach, które zabrały mi kilka lat, odkryłem jednak, iż życie, do którego zostałem przygotowany, nie podoba mi się. I to nie z błahych powodów. Nie przeszkadzają mi ubiory przeciwsmogowe, umiem współżyć z sąsiadami mając ich 800 na mile kwadratową, znoszę hałas, umiem się obronić przed małoletnimi chuliganami. Nie to, żebym nie lubił Ziemi; nie lubiłem tego, co robię na Ziemi. Sprzedałem więc moje dokumenty przynależności do związku niższych urzędników państwowych, zastawiłem rentę i kupiłem bilet na Wenus w jedną stronę. W końcu nic niezwykłego. To, co każdy chłopak mówi, że zrobi. Ale ja zrobiłem.

Myślę, że byłoby zupełnie inaczej, gdybym miał szansę na Duże Pieniądze. Gdyby mój ojciec był pełnym gubernatorem, a nie tylko urzędnikiem państwowym. Gdyby renta, którą mi zostawił, obejmowała Pełną Pomoc Lekarską. Gdybym należał do tych na górze, a nie tych pośrodku, naciskanych z obu stron. Ale tak nie było, więc wylądowałem we Wrzecionie, polując na forszę Ziemiaków.

\*

Każdy widział zdjęcie Wrzeciona, Kolosseum i wodospadu Niagara. Jak wszystko godne uwagi na Wenus, Wrzeciono jest pozostałością po Hiczich. Nikomu nie udało się ustalić, po co Hiczim była podziemna komora długa na trzysta metrów i w kształcie wrzeciona, ale była, więc używaliśmy jej jako wenusjańskiego odpowiednika Times Square albo Champs Elysees. Wszystkie Ziemiaki - turyści najpierw tu się kierują. A my ich łupimy ze skóry.

Mój biznes - wynajmowanie kapsuły powietrznej - jest w miarę uczciwy, jeśli nie brać pod uwagę, że na Wenus naprawdę mało co warte jest oglądania prócz tego, co pozostało po Hiczich pod powierzchnią globu. Inne potrzaski na turystów we Wrzecionie są po trosze oszustwem. Ziemiakom na rym nie zależy, choć muszą sobie zdawać sprawę, że się ich robi w konia; wszyscy kupują stopy hiczijskich wachlarzy modlitewnych i głów lalek i tych przycisków do papierów z przezroczyściego

plastyku, w których warstwicowy globus Wenus pływa w pomarańczowo-brązowej śnieżycy lipnego lotnego popiołu, krwawych diamentów i ogniopereł. Nie są Warte nawet ceny ich powrotnego przewozu na Ziemi, ale przypuszczam, że dla turysty, który może sobie pozwolić na opłacenie takiej podróży, nie ma to znaczenia.

Dla takich jak ja, którzy nie mogą sobie pozwolić na nic, potrzaski na turystów mają ogromne znaczenie. Żyjemy z nich. Nie chce przez to powiedzieć, że mamy z tego wysokie dochody. Ale to dzięki nim możemy opłacić swe wyżywienie i mieszkanie, a jeśli nie mamy czym płacić, zdychamy. Na Wenus nie ma wielu sposobów zdobywania pieniędzy. Te, z których mogłyby być Duże Pieniądze, och, choćby główna wygrana na loterii, natknięcie się na skarb w hiczijskich wykopaliskach czy dobrze płatna praca, to naprawdę marzenie ściętej głowy. Chleb z masłem wszyscy na Wenus mają z Ziemiaków - turystów, a kto ich nie wydoi do ostatka, jest skończony.

Oczywiście są turyści i turyści. Występują w trzech odmianach. Różnica między nimi wynika z mechaniki nieba.

Jest więc odmiana bidoków pośpiesznych. Na Ziemi powodzi im się zaledwie nieźle; przybywają co dwadzieścia sześć miesięcy po orbicie Hohmanna na ściśle określony czas. Nie mogą przebywać na Wenus dłużej niż trzy tygodnie. Przylatują więc w zorganizowanych grupach wycieczkowych, zdecydowani wykorzystać do maksimum ćwierć miliona dolarów wydanych na najtańszą kabinę, zafundowanych im przez bogatych dziadków, z okazji ukończenia studiów albo uzbieranych na drugi miesiąc miodowy czy lichy wie, z jakiej jeszcze okazji. Paskudne w nich jest to, że nie mają dużo pieniędzy, bo wydali wszystko na bilet. A miłe, że jest ich tak wielu. Gdy są na Wenus, wszystkie pokoje do wynajęcia są wypełnione po brzegi. Czasami sześć par na raz korzysta z jednej kabiny z przepierzeniem, dwie pary równocześnie w takich seks - inspektach na ośmiogodzinne zmiany przez całą dobę. Wtedy tacy jak ja muszą wytrzymywać w hiczijskich chatkach na powierzchni, wynajmując własne podziemne pokoje, aby zarobić pieniądze na następnych parę miesięcy.

\*

Ale nie da się zarobić dość, aby przeżyć do kolejnego spotkania z orbitą Hohmanna, więc gdy zjawiają się turyści Drugiej kategorii podrzynamy sobie nawzajem gardła, by ich dostać w ręce.

Są średnio zamożni. Można by ich określić jako ubogich milionerów: takich, których dochody wyrażają się liczbą zaledwie siedmiocyfrową. Mogą sobie pozwolić na przelot po orbitach wymuszonych, trwających około stu dni zamiast długiego, powolnego, beznapedowego dryfu orbitą Hohmanna. Kosztuje to milion i więcej dolarów, jest ich więc znacznie mniej. Ale przybywają prawie każdego miesiąca, gdy pozwala na to w miarę korzystna koniunkcja orbitalna obu planet. Mają też więcej pieniędzy do wydania. To samo dotyczy innych średniozamożnych docierających do nas cztery lub pięć razy na dekadę) gdy balistyka planetarna dzięki konfiguracji trzech planet pozwala na wybranie takiej orbity, która wymaga niewiele większego wydatku energetycznego niż prosty lot na - trasie Ziemia - Wenus. Jeśli mamy szczęście, zjawiają się najpierw u nas, następnie lecą na Marsa. Jeżeli kolejność jest odwrotna, dla nas zostają resztki. A to nigdy nie jest dużo.

Ale bardzo bogaci... ach, bardzo bogaci! Ci przybywają kiedy chcą, w sezonie korzystnych orbit lub poza nim.

Gdy mój kapsuś z lądowiska zameldował, że przybył prywatny czarter, poczułem zapach pieniędzy. O tej porze nie mógł przybyć nikt, kto nie był bardzo bogaty. Jedynym moim problemem było, ilu konkurentów będzie próbowało poderznąć mi gardło.

Wynajem kapsuś powietrznych wymaga o wiele większych nakładów niż otworzenie kiosku z wachlarzami modlitewnymi. Miałem to szczęście, że udało mi się kupić kapsułę tanio, gdy facet, dla którego pracowałem umarł. W tym momencie nie miałem zbyt wielu konkurentów, paru z nich miało pojazdy w naprawie, pozostali przeszukiwali na własną rękę hiczijskie podziemia.

Wiec prawdę mówiąc miałem pasażerów z czarteru, kimkolwiek byli, tylko dla siebie. Oczywiście zakładając, że będzie ich interesować wycieczka poza hiczijskie tunele.

Musiałem założyć, że ich to zainteresuje, ponieważ bardzo potrzebowałem pieniędzy. Wiecie, miałem taką drobną dolegliwość wątroby. Była bliska kompletnej wysiadki. Jak mi wytłumaczyli lekarze, miałem trzy możliwości: albo wrócić na Ziemię, by pomęczyć się jeszcze trochę na zewnętrznej protezie, albo zdobyć pieniądze na przeszczep. Albo umrzeć.

## II

Facet, który wyczarterował ten statek nazywał się Boyce Cochenour. Wyglądał na czterdziestkę. Wzrost dwa metry. Pochodzenie irlandzko - amerykańsko - francuskie.

Należał do typków przyzwyczajonych rozkazywać. Przyglądałem się, jak wchodził do Wrzeciona z miną właściciela przygotowującego się do jego sprzedaży. Usiadł w bulwarowo - parysko - hicijskiej imitacji kafejki ze stolikami na chodniku należącej do Sub Vastry. Powiedział:

- Szkocka.

A Yastra pośpieszył nalać „Johna Begga” na kostki świetnie ochłodzonego lodu i podać mu, trzeszczącą od zimna i znieczulającą wargi.

- Palić - powiedział, a towarzysząca mu dziewczyna natychmiast zapaliła papierosa i podała mu.

- Nędzna speluna - oświadczył, a Yastra zaczął wyłazić ze skóry, by okazać, jak bardzo się z nim zgadza.

Usiadłem przy nich, no, to znaczy nie przy ich stoliku; nawet na nich nie spojrzałem. Ale słyszałem, co mówili. Yastra też na mnie nie spojrzał, choć oczywiście widział, jak wchodziłem i wiedział, że mam ich na oku. Ale musiałem się pogodzić z tym, że zamówienie przyjęła ode mnie jego żona Numer Trzy, bo Yastra nie zamierzał tracić na mnie czasu, mając przy stoliku Ziemiaka z czarterowego statku.

- Jak zwykle - powiedziałem, mając na myśli czysty spirytus podany w kubku od napoju bezalkoholowego. - I odbitka waszych informacji - dodałem ciszej. Błysnęła ku mnie oczami znad flirtowoalki. Mała ciekawska lisica. Poklepałem ją przyjacielsko po dłoni, wsuwając zwinięty banknot. Odeszła.

Ziemiak badał wzrokiem otoczenie łącznie ze mną. W odpowiedzi spojrzałem na niego, grzecznie ale chłodno, on zaś prawie niedostrzegalnie kiwnął mi głową i odwrócił się do Subhasha Yastry.

- Ponieważ już tu jestem - powiedział - mogę ostatecznie zająć się, czymkolwiek co tu jest do roboty. A co jest?

Sub uśmiechnął się szeroko jak wysoka, chuda żaba.

- Ach, wszystko co pan życzy, saar. Rozrywki? W naszych prywatnych salonach mamy najwybitniejsze artystki trzech planet, bajadery, świetne aktorki...

- Tego mamy po uszy w Cincinnati. Nie przyleciałem na Wenus, by oglądać występy kabaretowe. - Oczywiście nie mógł wiedzieć, jak dobre zrobił posunięcie; prywatne pokoje Suba były bardzo nisko notowane wśród nocnych lokali na Wenus, a nawet najlepsze z nich niewiele były warte.

- Oczywiście, saar! To może zechciałby pan wziąć pod uwagę wycieczkę?

- Ech - potrząsnął głową Cochenour. - Co za sens? Czy jest tam inaczej, niż na naszym lądowisku leżącym dokładnie nad naszymi głowami?

Yastra zawahał się. Widziałem dobrze, jak oblicza w myśli dalsze konsekwencje, porównując szansę zabrania Ziemiaka na wycieczkę, po powierzchni, z tym, co mógłby dostać ode mnie za pośrednictwo. Nie spojrzał w moją stronę. Zwyciężyła uczciwość, to znaczy uczciwość podparta szybką oceną łatwo - wierności Cochenoura.

- Niewielka różnica, istotnie - przyznał. - Na powierzchni wszystko bardzo gorące i suche, przynajmniej w promieniu tysiąca kilometrów. Ale nie miałem na myśli powierzchni.

- Wiec co?

- Ach, saar, nory Hiczich! Zaraz pod tym osiedlem ciągną się na wiele mil. Można by znaleźć przewodnika...

- Nie bierze mnie - mruknął Cochenour. - W każdym razie nie tak blisko.

- Saar?

- Jeśli przewodnik może nas tam poprowadzić - wyjaśnił Cochenour - to znaczy, że są zbadane. Co oznacza, że już wyszabrowane. Cóż w tym ciekawego?

- Oczywiście - przyznał natychmiast Yastra. - Rozumiem, co pan ma na myśli, saar.

Humor wyraźnie mu się poprawił i czułem jak jego radar skierował się na mnie, by go upewnić, że słucham, choć w ogóle nie patrzył w moją stronę..

- Prawdę mówiąc - dodał - zawsze jest szansa natrafienia na nowe wykopaliska, saar, pod warunkiem, że wie się, gdzie szukać. Czy mam rację przyjmując, że to by pana zainteresowało?

Trzecia Yastry przyniosła mojego drinka i cieniutki papierek z kserokopią.

- Trzydzieści procent - szepnąłem jej. - Powiedz Subowi. Ale bez targów i bez nikogo innego

w licytacji...

Kiwnęła głową i zrobiła do mnie oko. Była tak samo pewna jak ja, że Ziemiak już połknął przynętę. Miałem zamiar sączyć mojego drinka tak długo jak się da, jednak widząc zbliżającą się pomyślność byłem gotów ją uczcić i pociągnąłem duży, serdeczny tyk.

Ale przynęcie brakowało haczyka. Nieoczekiwanie Ziemiak wzruszył ramionami.

- Założę się, że to strata czasu - mruknął. - Naprawdę tak myślę. Jeżeli ktoś wie gdzie szukać, to sam by już tam poszukał, prawda?

- Ach, proszę pana! - zawołał Subhash Yastra. - Przecież są setki niezbadanych tuneli! Tysiące! A w nich, kto wie, może bezcenne skarby?

Cochenour potrząsnął głową.

- Daj sobie spokój - powiedział. - Przynieś nam jeszcze drinka. I postaraj się, żeby tym razem lód był naprawdę zimny.

\*

Z lekka zachwiany w nadziejach odstawiłem swój kubek, odwróciłem się nieco od Ziemiaków, by ukryć dłoń i zerknąłem do odbitki raportu Suba, by zorientować się, czy nie ma tam czegoś, co wyjaśniałoby czemu Cochenour stracił zainteresowanie sprawą.

Nie było. Ale za to wiele się dowiedziałem. Dziewczyna, która była z Cochenourem nazywała się Dorota Keefer. Podróżuje z nim od paru lat, tym razem po raz pierwszy poza Ziemię - Nie było nic na temat ich małżeństwa ani projektów na nie, przynajmniej z jego strony. Ona miała niewiele ponad dwadzieścia, wiek rzeczywisty, nie fingowany lekami i przeszczepami. Sam Cochenour mocno przekroczył dziewięćdziesiątkę.

Oczywiście nie wyglądał ani na to, ani nawet blisko tego. Przyglądałem się jak podchodził do stolika; jak na człowieka jego wzrostu poruszał się lekko i sprężysto. Forsą miał z własności ziemskiej i petro-żywności; według informacji był jednym z pierwszych milionerów naftowych, którzy przestawili się ze sprzedaży paliwa do samochodów i ogrzewania na produkcję żywności, hodując algi w surowej ropie z własnych szybów i po przetworzeniu sprzedając je dla celów konsumpcyjnych. Już nie był zwykłym milionerem, ale kimś znacznie większym.

I to wyjaśniało jego wygląd. Korzystał z Pełnej Lekarskiej z dodatkami. Sprawozdanie podawało, że serce ma tytanowo - plastikowe. Płuca przeszczepione z dwudziestolatka, który zginął w katastrofie helikoptera. Działanie skóry, mięśni i tkanki tłuszczowej, nie mówiąc już o różnych systemach gruczołowych, podtrzymywał hormonami i biostymulatorami kosztem dobrze ponad tysiąca dolarów dziennie. Sądząc z tego, jak poklepał siedzącą obok niego dziewczynę, dostawał wszystko, co się należało za te pieniądze. Wyglądał i zachowywał się jakby miał nie więcej niż czterdziestkę, może zdradzało go tylko spojrzenie jasnoniebieskich zimnych jak diamenty, znużonych i nieufnych



oczu.

Cóż za wspaniały jeleń! Przełknąłem resztę mego drinka i kiwnąłem na Trzecią, by mi przyniosła następny. Musiał istnieć sposób zmuszenia go, by wynajął moją kapsułę.

Trzeba go tylko było znaleźć.

Za barierką kafejki Yastry połowa Wrzeciona myślała oczywiście w ten sam sposób. Byliśmy na dnie martwego sezonu; banda Hohmannowska miała przylecieć dopiero za trzy miesiące, wszystkim nam zaczynało brakować pieniędzy. Mój przeszczep wątroby był malutką dodatkową zachętą. Z setki głodnych szczurów, których widziałem kątem oka, dziewięćdziesięciu dziewięciu potrzebowało nie mniej pilnie niż ja chapnąć coś z forsy bogatego turysty tylko po to, by zostać przy życiu.

Ale wszyscy nie mogli tego zrobić. Dwóch z nas, trzech, może nawet i tuzin mogło załapać tyle, by to coś naprawdę znaczyło. Nie więcej. A ja musiałem być jednym z tych niewielu.

Łyknąłem potężnie mego drugiego drinka, dałem ostentacyjnie Trzeciej Yastry hojny napiwek i leniwie odwróciłem się twarzą wprost do Ziemiaków.

Dziewczyna rozmawiała z grupką sprzedawców pamiątek z miną równocześnie zaciekawioną i niepewną.

- Boyce? - zapytała, patrząc na niego przez ramię.

- Co tam?

- Do czego to służy?

Przechylił się przez barierkę i popatrzył.

- Wygląda na wachlarz - powiedział.

- Zgadza się, wachlarz modlitewny Hiczich! - zawołał handlarz. Znałem go, był to Booker Allemang, weteran Wrzeciona. - Sam go znalazłem, panienko! Spełni każde pani życzenie, codziennie dostaje listy od klientów donoszących o cudownych rezultatach...

- Przynęta na frajerów - warknął Cochenour. - Kup sobie jeśli chcesz.

- Ale co on powoduje? Zaśmiał się chrapliwie.

- To, co każdy wachlarz. Chłodzi. - I popatrzył na mnie z uśmiechem.

\*

Dopiłem drinka, kiwnąłem głową, wstałem i podszedłem do ich stolika.

- Witajcie na Wenus - powiedziałem. - Czy mogę państwu w czymś pomóc? Dziewczyna, nim mi odpowiedziała, spojrzeniem zapytała Cochenoura o zgodę.

- Uważam, że to jest bardzo ładne - oświadczyła.

- Bardzo - potwierdziłem. - Czy zna pani historie Hiczich?

Cochenour wskazał mi gestem krzesło. Usiadłem i ciągnąłem dalej.

- Zbudowali te tunele mniej więcej ćwierć miliona lat temu. Mieszkali tu przez parę stuleci, w ocenach są duże różnice. Potem odeszli. Zostawili po sobie masę szmelcu i trochę rzeczy, które nie są szmelcem, między innymi te wachlarze. Niektórzy tutejsi naciągacze, jak ten Be-gie, co tu stoi, wpadli na pomysł nazwania ich "wachlarzami modlitewnymi" i sprzedawania ich turystom, by sobie z ich pomocą zamawiali życzenia.

Allemang nie tracił ani słowa z tego co mówiłem, starając się odgadnąć, do czego zmierzam.

- Przecież wiesz, że to prawda - powiedział.

- Ale wy dwoje jesteście za inteligentni na tego rodzaju gadki - ciągnąłem. - Niemniej przyjrzyjcie się im. Są dość piękne, by warto je było mieć nawet bez tej opowieści.

- Oczywiście! - zawołał Allemang. - Popatrz, panienko, jakie ten rzuca iskry! A te szare i czarne kryształy, jak pięknie kontrastują z pani blond włosami!

Dziewczyna rozwinęła wachlarz usiany kryształami. Tworzył zwój, ale w kształcie stożka. Wystarczyło najlżejsze dotknięcie kciuka by rozwinął się i gdy dziewczyna powiała nim lekko, wyglądała naprawdę bardzo pięknie. Jak wszystkie hiczijskie wachlarze ważył tylko z dziesięć gramów, a jego krystaliczna koronka odbijała zarówno światło luminescencyjnych hiczijskich ścian jak i świetlówek, które zainstalowaliśmy tu my, szczury tego podziemnego labiryntu. Rzucał na wszystkie strony tęcze iskry.

- Ten typ nazywa się Booker Garey Allemang - powiedziałem. - Sprzeda wam taki sam towar jak inni, ale nie oszuka was tak bardzo jak większość z nich.

Cochenour spojrzał na mnie surowo, następnie przywołał gestem Suba Yastre zamawiając następną kolejkę.

- Dobra - oświadczył. - Jeśli będziemy kupować, kupimy od ciebie, Booker Garey Allemang. Ale nie teraz.

Zwrócił się do mnie.

- A pan co chce nam sprzedać?

- Siebie i moją kapsułę powietrzną, jeśli pan chce szukać nowych tuneli. Oboje jesteśmy

najlepsi w naszych kategoriach.

- Ile?

- Milion dolarów - odrzekłem natychmiast. - Za całość.

Nie odpowiedział od razu, choć z pewną przyjemnością zauważyłem, że cena nie zrobiła na nim większego wrażenia. Wyglądał tak miło, a przynajmniej tak samo spokojnie znudzony, jak zawsze.

- Napijmy się - powiedział, gdy Vastra i jego Trzecia nas obsłużyli. Dłonią ze szklanką zrobił gest pokazując Wrzeciono. - Wiadomo do czego to służyło? - zapytał.

- To znaczy, po co Hiczi to zbudowali? Nie. Byli dość niskiego wzrostu, więc nie było wyrobiskiem kopalnianym. A gdy to odkryto, było całkiem puste.

Spojrzał wyrozumiale na ruchliwe otoczenie, na balkony wycięte w pochyłych ścianach Wrzeciona, gdzie mieściły się knajpy podobne do tej, w której siedzieliśmy, szeregi kiosków z pamiątkami, w większości zamkniętych w związku z martwym sezonem. Mimo to parę setek szczurów podziemnych kręciło się dookoła, a ich ilość była tym większa, im dłużej Cochenour i dziewczyna siedzieli przy stoliku.

- Niewiele jest tu do oglądania, prawda? - powiedział. - Dziura w ziemi i masa ludzi próbujących dobrać się do moich pieniędzy.

Wzruszyłem ramionami.

Znów wyszczerzył zęby.

- No to po co tu przyjechałem, co? Ano, to dobre pytanie, ale ponieważ pan go nie zadał, ja nie muszę odpowiadać. Chce pan milion dolarów. Policzmy sobie. Sto za wynajęcie kapsuły. Sto osiemdziesiąt czy coś koło tego miesięcznie za wynajem sprzętu. Minimum dziesięć dni, ale raczej trzy tygodnie. Żywność, zapasy, zezwolenia, jeszcze pięćdziesiąt. To już prawie siedemset tysięcy, nie licząc pańskiego honorarium i tego, co pan musi odpalić naszemu gospodarzowi za to, że nie wyrzucił pana z lokalu. Zgadza się Walthers?

Miałem pewne trudności z przełknięciem drinka, który już - miałem w ustach, ale udało mi się odpowiedzieć:

- To by się zgadzało, Mr. Cochenour. - Nie uważałem, by należało go informować, że mam własny sprzęt jak również kapsułę, choć nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że wie także i o tym.

- No to umowa stoi. I chce odlecieć tak szybko, jak się da, czyli, hmm, mniej więcej o tej samej godzinie jutro.

- W porządku - odrzekłem, unikając spojrzenia Suba Yastry, w którego jakby piorun strzelił. Miałem zarówno coś do zrobienia, jak i do przemyślenia. Zaskoczył mnie zupełnie, a to nie jest dobre, gdy nie można sobie pozwolić na zrobienie błędu. Wiem, że zauważył, iż znam jego nazwisko. To było w porządku, zdawał sobie sprawę, że sprawdziłem go natychmiast. Ale dziwne było, że on znał moje.

### III

Pierwsze, co miałem do zrobienia, to dokładnie skontrolować mój sprzęt; drugie: pójść do związku zawodowego, poświadczyć kontrakt i załatwić umowę z Sub Yastrą. Trzecie: zobaczyć się z lekarzem. Chwilowo moja wątroba nie sprawiała kłopotów, ale przerwałem przecież picie alkoholu.

Sprawdzenie, że wszystko czego będziemy potrzebować podczas wyprawy jest sprawne, ze wszystkimi częściami zamiennymi, których moglibyśmy potrzebować, zajęło mi około godziny. Znachornia leżała po drodze do biura związku, wstąpiłem więc najpierw tam. Nowiny były nie gorsze niż oczekiwałem; dr Morius starannie przestudiował odczyty swych aparatów. Okazało się, że jego staranność kosztuje sto pięćdziesiąt dolarów, on zaś wyraził ostrożną nadzieję, że przeżyje trzy tygodnie z dala od jego gabinetu pod warunkiem, że będę brał wszystko co mi przepisze i nie będę przekraczał bardziej niż zwykle zalecanej mi diety.

- A gdy wrócę? - zapytałem.

- Mniej więcej to samo, Audee - powiedział pogodnie. - Kompletne załamanie w ciągu, och, powiedzmy dziewięćdziesięciu dni. - Postukał końcami palców. - Słyszałem, że dorwałś nadzianego - dodał. - Chcesz się zapisać na przeszczep?

- A ile, według tego co słyszałeś, to nadzienie będzie warte?

- Och, cena jest w każdym wypadku ta sama - odrzekł dobrodusznie. - Dwieście, plus szpital, anestezjolog, przedoperacyjna porada psychiatry, lekarstwa; wiesz już ile.

Wiedziałem i wiedziałem też, że z tego co zarobię na Cochenourze plus moje oszczędności, plus mała pożyczka pod zastaw kapsuły, będę mógł to prawie na pewno pokryć. Po operacji będę bankrutem, ale, rzecz jasna, żywym.

- No to jazda - powiedziałem. - Za trzy tygodnie od jutra.

I zostawiłem go dość zadowolonego, jak burmańskiego plantatora ryżu przyglądającego się kolejnym żniwom. Kochany tatuś. Czemu nie wysłał mnie do szkoły medycznej zamiast zapewnić mi wykształcenie?

\*

Byłoby bardzo przyjemnie, gdyby Hiczi byli tego samego wzrostu co ludzie, a nie o jakieś

czterdzieści procent niżsi. W mniejszych tunelach, jak ten, który prowadził do Miejscowego Biura Nr 88 związku zawodowego, musiałem iść cały czas zgięty w pół.

Zastępca przewodniczącego już na mnie czekał. Miał jedną z tych niewielu dobrych posad, które nie zależały od turystów, w każdym razie nie bezpośrednio. Powiedział:

- Telefonował Subhash Yastra. Mówi, że zgodziliście się na trzydzieści procent, a poza tym zapomniałeś zapłacić w barze rachunek jego trzeciej żonie.

- Jedno i drugie się zgadza.

- Mnie też jesteś coś niecoś winien, Audee. Trzysta za kserokopie raportu o twoim frajerze. Stówa za poświadczenie twojej umowy z Yastrą. A jeśli chcesz papiery przewodnika, to jeszcze sześćset.

Dałem mu kartę kredytową i podstemplowałem urnowe, którą spisał. 30 procent Yastry nie należało się od całego miliona brutto, lecz mojego zarobku netto; ale nawet w ten sposób mógł mieć z tego tyle samo co ja, w każdym razie w żywej gotówce, bo ja miałem do zapłacenia zaległą resztę za sprzęt oraz pożyczki. Pośrednicy gotowi są podtrzymywać klienta, póki mu się nie poszczęści, ale chcą by wówczas im zapłacił. Wiedzieli, ile może potrwać, nim mu się poszczęści po raz drugi.

- Dzięki, Audee - powiedział zastępca, kiwając głową w stronę podpisanej umowy. - Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

- Po twoich cenach, nic - odpowiedziałem.

- Ach, myślisz, że cię nabieram. "Boyce Cochenour i Dorota Keefer, Ziemia, Ohio, w czarterze. Innych pasażerów nie ma". Innych pasażerów nie ma - powtórzył, cytując meldunek, który mi dostarczył. - Ależ zostaniesz bogaczem, Audee, jeśli popracujesz jak trzeba nad tym frajerem.

- Tyle nie żądam - powiedziałem. - Nie chce. nic ponad to, by zostać przy życiu.

Ale to nie była cała prawda. Miałem malutką nadzieję, niezbyt dużą, w każdym razie nie tak dużą, by o niej gadać i prawdę mówiąc nigdy nie powiedziałem na ten temat nikomu ani słowa, że mogę wyjść z tego lepiej niż tylko żywy.

Ale był w tym pewien problem.

Według standardowej umowy przewodnika, uważacie, oraz warunków wynajmu kapsuły, dostaje zapłatę, i to wszystko, co mi się należy. Jeśli bierzemy takiego jelenia jak Cochenour na polowanie w nowe tunele Hiczych, a on znajdzie coś wartościowego - a jeleniom, wiecie, to się zdarza, nieczęsto, ale wystarczająco by mieli nadzieję. - to jest to jego. My tylko dla niego pracujemy.

Z drugiej znów strony mógłbym się wybrać na własną rękę i poszukać, a wtedy cokolwiek bym

znalazł, byłoby moje.

Jasne, że każdy z odrobiną oleju w głowie wybrałby się sam, gdyby przypuszczał, że rzeczywiście coś znajdzie. Ale w moim wypadku to nie byłby taki dobry pomysł. Gdybym postawił na taką wycieczką i przegrał, to nie znaczyłoby, że tylko straciłem czas i może pięćdziesiąt z oszczędności i na skutek zużycia sprzętu. Gdybym przegrał, byłbym trupem.

By zostać przy życiu, potrzebne mi było to, co wyciągnę z Cochenoura. A do tego potrzebne było moje honorarium, niezależnie od tego czy znajdziemy coś ciekawego, czy nie.

Moim nieszczęściem było to, że wyobrażałem sobie, iż wiem, gdzie można znaleźć coś bardzo interesującego, więc problem sprowadzał się do tego, że jak długo byłem związany umową oddającą wszelkie prawa Cochenourowi, nie mogłem sobie pozwolić na znalezienie właśnie tego.

\*

Ostatni przystanek miałem w mojej sypialni. Pod łóżkiem, wpuszczony w litą skałę, znajdował się gwarantowany przeciwwłamaniowy sejf, a w nim pewne papiery, które od tej chwili wolałem trzymać w kieszeni.

Gdy swego czasu przybyłem na Wenus, nie interesowały mnie krajobrazy. Chciałem dorobić się fortuny.

Wtedy i przez następne dwa lata mało co obejrzałem na powierzchni Wenus. Ze statku kosmicznego zdolnego do lądowania na Wenus widzi się niewiele; ciśnienie 20.000 milibarów na powierzchni oznacza, że trzeba tam czegoś trochę solidniejszego niż te banieczki, które latają na Księżyc, Marsa czy dalej, a parametry konstrukcyjne nie dopuszczają do umieszczania zbędnych okien w kadłubie. To nie ma większego znaczenia, bo i tak wszędzie, z wyjątkiem okolic podbiegunowych, niewiele jest do oglądania. Wszystko co na Wenus warto zobaczyć jest wewnątrz i wszystko to niegdyś należało do Hiczich.

Co nie oznacza, byśmy o nich wiele wiedzieli. Nie znamy nawet ich właściwej nazwy; "hiczi" to po prostu słowo, którym ktoś kiedyś zapisał dźwięk wydawany przez naciśniętą ognioperłę, a ponieważ jest to jedyny dźwięk w jakiś sposób związany z tamtymi, stał się ich nazwą.

Hesperologowie nie wiedzą skąd Hiczi przybyli, choć są pewne zapisy na strzępach tego, co Hiczi używali jako papieru; zblakłe, niekompletne, prawie nieczytelne. Przypuszczam, że gdybyśmy znali dokładnie pozycje wszystkich gwiazd Galaktyki 250.000 lat temu, byłibyśmy nawet w stanie na tej podstawie ich zlokalizować. Przyjmując, że przybyli z tej galaktyki. Nigdzie w systemie słonecznym nie ma śladu ich pobytu, może z wyjątkiem Fobosa; specjaliści ciągle się wyklócają, czy podobne do plastra pszczelego komórki wewnątrz marsjańskiego księżyca to coś naturalnego czy artefakty, a jeśli artefakty, to bez wątplenia hiczijskie. Ale niezbyt podobne do tutejszych.

Czasem zastanawiam się, kim byli. Uciekinierami z umierającej planety? Uchodźcami politycznymi? Turystami, którzy mieli awarie w drodze skądś tam do gdzieś tam i zatrzymali się tutaj

tylko, by zrobić co musieli, by podążyć dalej? Kiedyś myślałem, że może przybyli, by obserwować rozwój istot ludzkich na Ziemi, jak ojczymowie patrzący z uśmiechem na rozwijającą się młodą rasę; ale w tym okresie niewiele było do oglądania, bo znajdowaliśmy się w połowie drogi między australopitekami i kromaniończykami.

Ale chociaż zabrali ze sobą prawie wszystko co mieli, zostawiając tylko puste tunele, komory oraz tu i tam trochę szczątków, których albo nie warto było zabierać, albo które zostały przeoczone; te wszystkie "wachlarze modlitewne", wystarczająco dużo różnych pojemników, by wyglądało to jak pozostałości obozowiska opuszczonego po gorącym lecie, jakieś błyskotki i drobiazgi. Sądzę, że najbardziej znanym z "drobiazgów" jest przebijał izokinetyczny, kryształ węglowy przenoszący uderzenie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Ktoś tam zarobił na nim parę miliardów mając tyle szczęścia, że go znalazł i tyle rozumu, że go zanalizował i powielił. Ale my trafialiśmy tylko na szmelc. A musiał tu być kiedyś dobry towar, warty milion razy więcej niż te śmieci.

Czy wszystko co dobre zabrali ze sobą?

Tego nikt nie wiedział. Ja też nie, ale myślałem, że znam coś, co może do tych rzeczy doprowadzić.

Myślałem mianowicie, że wiem skąd wystartował ostatni statek Hiczych; a było to daleko od wszystkich wyeksploatowanych wykopalisk.

Nie oszukiwałem sam siebie. Wiedziałem, że nic tu nie jest pewne. Ale było od czego zacząć. Może, gdy startował ostatni statek, byli już zniecierpliwieni i nie tak dokładnie oczyścili teren po sobie.

To był sens całego pobytu na Wenus. Jakiż w ogóle mógłby być inny? Szczury podziemne w najlepszym razie ledwie żyły. By przeżyć, trzeba było pięćdziesiąt tysięcy na rok. Gdy miało się mniej, nie starczyło na opłacenie podatku od powietrza, podatku pogłównego, przydziału wody a nawet rachunków za żywność na poziomie pozwalającym utrzymać się przy życiu. Jeśli zaś chciało się jeść mięso częściej niż raz na tydzień i mieć własną kabinę do spania, trzeba było płacić jeszcze więcej.

Papiery przewodnika kosztowały tyle co tygodniowe utrzymanie; gdy którykolwiek z nas je wykupywał, ryzykował koszt tygodnia życia przeciw szansom na szmal czy to od Ziemiaków - turystów czy ze znalezisk, szmal wystarczający na bilet powrotny na Ziemię, gdzie nikt nie głodował, nikt nie umierał z braku powietrza, nikogo nie wyrzucano do wysokociśnieniowej spalarki, jaką była atmosfera Wenus. Każdy ze szczurów podziemnych, jeszcze gdy leciał w kierunku Słońca, stawiał sobie za cel przede wszystkim powrót w wielkim stylu: z forszą wystarczającą na pełne życie istoty ludzkiej na Pełnej Lekarskiej.

I ja tego chciałem. Strzału z grubej rury.



## IV

Nieprzypadkowo ostatnią moją czynnością tego wieczoru była wizyta w Sali Odkryć.

Trzecia Yastry mrugnęła do mnie znad flirtowoalki i zwróciła się do swej towarzyszki/która rozejrzała się i kiwnęła głową.

Podszedłem do nich.

- Hallo, panie Walthers - powiedziała.

- Przypuszczałem, że może panią tu spotkam - odrzekłem, co było szczerą prawdą, bo Trzecia Yastry obiecała mi, że ją tu przyprowadzi: Nie wiedziałem, jak się do niej zwracać. f„Panno Keefer" było" zgodnie ze stanóm faktycznym, „Pani Cochenour" dyplomatyczne. Wybrnąłem z tego mówiąc:

- Ponieważ w najbliższym czasie będziemy często się spotykać, co pani na to, żebyśmy przeszli na mówienie sobie po imieniu?

- Audee, prawda? Uśmiechnąłem się do niej całą gębą.

- Szwed od strony matki, stary Teksańczyk po ojcu. O ile wiem, imię było od dawna używane w rodzinie.

Sala Odkryć jest po to, by Ziemiańkom podkreślić nadzieje; jest tam trochę wszystkiego, od planów wyeksploatowanych - wykopalisk i ogromnej mapy Wenus w rzucie Merkatora do próbek najważniejszych znalezisk. Pokazałem jej kopie przebijaka izokinetycznego i autentyczny piezofon półprzewodnikowy, który przyniósł swemu odkrywcy nie mniejsze bogactwa niż to, co miał facet, który znalazł przebijak. Był tu też z tuzin ogniopereł, maleństw ćwierćcalowych, za pancerną szybą i na poduszkach, świecących chłodnym mlecznym światłem.

- Są ładne - powiedziała. - Ale po co te wszystkie środki ostrożności? Widziałam większe leżące na ladzie we Wrzecionie bez jakiegokolwiek nadzoru.

- Jest drobna różnica, Doroto - odrzekłem. - Te są prawdziwe.

Roześmiała się głośno. Bardzo ładnie się śmiała. Żadna dziewczyna nie wygląda ładnie podczas głośnego śmiechu, a te które troszczą się o swój wygląd nie śmieją się w ogóle. Dorota Keefer wyglądała jak zdrowa, ładna dziewczyna, która świetnie się bawi. Gdy się zastanowić, jest to

chyba najlepszy sposób w jaki dziewczyna może wyglądać.

Ale nie była jednak wystarczająco piękna, aby stanąć między mną i moją nową wątrobą, przestałem więc myśleć o jej wyglądzie, a zacząłem o interesie.

- Te małe czerwone kulki w tamtej gablocie to krwawe diamenty - powiedziałem. - Są radioaktywne i zawsze ciepłe. Dzięki temu można zawsze odróżnić prawdziwe od lipnych: każdy większy niż mniej więcej trzy centymetry średnicy, to lipa. Prawdziwy tej wielkości wytwarza zbyt wiele ciepła, wiesz, stosunek kwadratu do sześciangu, i topi się.

- Więc te, które twój przyjaciel próbował mi sprzedać...

- ...są lipne. Zgadza się.

Skinęła głową, ciągle uśmiechnięta.

- A co z tym, co ty nam próbujesz sprzedać, Audee? Autentyk, czy lipa?

\*

Trzecia Yastry dyskretnie się ulotniła i prócz mnie oraz dziewczyny nie było w Sali Odkryć nikogo. Nabrałem powietrza i powiedziałem jej prawdę. Może nie całą prawdę, ale nic poza prawdą.

- To wszystko co tu leży - powiedziałem - to plon stu lat wykopalisk. Nie jest tego wiele. Przebijak, piezofon i dwa lub trzy inne urządzenia, które potrafiliśmy uruchomić; parę połamanych kawałków rzeczy, które ciągle jeszcze badają i parę błyskotek. To wszystko.

- Ja też o tym słyszałam - odpowiedziała. - I jeszcze coś. Ani jedna z dat znalezienia na tych eksponatach nie jest świeższa niż sprzed pięćdziesięciu lat.

Była bystra i lepiej poinformowana niż się spodziewałem.

- A wniosek z tego - powiedziałem - że planeta została wyeksploatowana do cna. Pierwsi kopacze znaleźli wszystko, co było do znalezienia... jak dotąd.

- Myślisz, że coś zostało?

- Mam nadzieję. Popatrz. Punkt pierwszy. Tunele. Widać, że są wszystkie jednakowe: błękitne ściany, absolutnie gładkie, wydzielają światło, które nigdy się nie zmienia, twarde. Jak myślisz, w jaki sposób je zrobiono?

- Cóż, nie mam pojęcia...

- Ani ja. Ani nikt inny. Ale wszystkie tunele Hiczich są takie same, a jeśli wkopać się do nich z zewnątrz, trafia się na taką samą skałę, podłożową, następnie warstwę pośrednią, która jest pół na

pół podłożem i materiałem ścian, następnie na ścianę. Wniosek: Hiczi nie kopali tunele by je następnie pokrywać niebieską warstwą, mieli coś samobieżnego co lazło pod ziemią jak dżdżownica, zostawiając za sobą gotowe tunele. I jeszcze coś: za dużo drążyli. To znaczy masami przebijali tunele, których nie potrzebowali, prowadzące donikąd, nigdy nie używane. Czy to ci daje coś do myślenia?

- Że drążenie było tanie i łatwe? - domyśliła się. Kiwnąłem głową.

- Wiec według wszelkiego prawdopodobieństwa musiała to być maszyna i gdzieś na tej planecie przynajmniej jedna czeka na odkrycie. Punkt dwa. Powietrze. Oddychali tlenem tak jak my i musieli skądś go brać. Skąd?

- Ależ tlen atmosferyczny...

- Oczywiście. Około pół procenta. I ponad 95 procent dwutlenku węgla. I w jakiś sposób potrafili wydobyć te pół procenta z mieszanki, tanio i łatwo; pamiętaj o tych dodatkowych tunelach, które napełnili powietrzem! Oraz, by sporządzić mieszaninę do oddychania, potrzebna ilość azotu czy jakiegoś gazu obojętnego, a te są tu tylko w ilościach śladowych. Jak? Cóż, nie mam pojęcia, ale jeśli to robiono mechanicznie, to chciałbym te maszyny znaleźć. Punkt następny. Maszyny latające. Hiczi latali sobie nad powierzchnią Wenus jak chcieli.

- Ale ty też to robisz, Audee! Czyż nie jesteś pilotem?

- Zgadza się, ale pomyśl czego to wymaga. Temperatura powierzchniowa dwieście siedemdziesiąt stopni Celsjusza, a tlenu nie wystarczy, by zapalić papierosa. Wiec moja kapsuła ma dwa zbiorniki paliwowe, jeden na węglowodory, drugi na utleniacze. A... czy słyszałaś o facecie nazwiskiem Car - not?

- Starożytny uczony, tak? Obieg Carnota?

- Zgadza się i to. - Uważnie odnotowałem, że zadziwiła mnie po raz trzeci. - Współczynnik Carnota sprawności silnika wyraża się jego temperaturą maksymalną, powiedzmy ciepłem spalania, podzieloną przez temperaturę gazów odlotowych. No dobra, ale temperatura odlotu nie może być niższa niż temperatura ośrodka, w przeciwnym razie nie uruchomiłabyś silnika, tylko chłodziarkę. No i masz te. dwieście siedemdziesiąt stopni otaczającego powietrza, silnik jest wiec zasadniczo do bani. Każdy silnik cieplny na Wenus jest do bani. Czy nie zastanawiałaś się, czemu tu tak mało kapsuł powietrznych? Mnie to nie martwi, nawet pomaga w utrzymywaniu się. Mamy prawie monopol. Ale przyczyna leży w tym, że ich praca jest cholernie droga.

- A Hiczi rozwiązyali to lepiej?

- Przypuszczam, że tak.

Znów się zaśmiała niespodziewanie i znowu w sposób bardzo pociągający.

- Ależ, mój biedny chłopcze - powiedziała wesoło - to co sprzedajesz, trzyma cię za gardło, prawda? Myślisz, że któregoś dnia znajdziesz najważniejszy tunel i zabierzesz sobie wszystko.

No cóż, nie bardzo byłem zadowolony z rozwoju sytuacji. Umówiłem się z Trzecią Yastry, że zabierze dziewczynę tutaj, z dala od jej chłopca, bym ją mógł prywatnie wysondować. Ale to nie wypaliło. Wypaliło natomiast to, że ona zwróciła na siebie moją uwagę, co już samo w sobie było niedobre, a co gorsza spowodowała, że zacząłem się przyglądać sobie samemu. ,

Po minucie milczenia odpowiedziałem:

- Może i masz racje. Ale jestem zdecydowany spróbować.

- Nie jesteś na mnie zły, prawda?

- Nie - odrzekłem niezgodnie z prawdą - ale może, odrobinę zmęczony. A jutro przed nami daleka droga, więc lepiej odprowadzę panią .do domu, panno Keefer.

## V

Moja kapsuła stała obok kosmodromu i docierało się do niej w ten sam sposób, jak na kosmodrom. Winda do służby powierzchniowej i taxitraktorem przez suchą, wymęczoną powierzchnię Wenus, łuszczącą się pod uderzeniami wiatru o szybkości trzystu kilometrów na godzinę. Oczywiście normalnie trzymałem kapsułę pod osłoną piankową. Jeśli chcesz coś zachować w całości na powierzchni Wenus, nie zostawiaj tego luzem i wystawionego na działanie atmosfery, nawet jeśli jest zrobione ze stali chromowej. Piankę, zdjąłem rano, gdy robiłem przegląd i ładowałem zapasy. Teraz kapsuła była gotowa. Widać to było przez iluminatory łazika i poprzez żółtozielony mrok na zewnątrz. Cochenour i dziewczyna też mogliby ją dostrzec, gdyby wiedzieli gdzie patrzeć, ale mogli też jej nie rozpoznać. Cochenour wrzasnął mi do ucha:

- Pokłóciliście się z Dorie?

- Nie pokłóciliśmy się - odwrzasnąłem.

- Niech się pan nie przejmuj nawet gdyby tak było. Nie musicie się lubić, wystarczy, że robicie to co chce. - Przez chwilę milczał, by dać odpocząć swemu gardłu. - Jezusie. Co za wiatr.

- Zefirek - odpowiedziałem. Nie dodałem nic, sam do tego dojdzie. Teren wokół kosmoportu jest obszarem czegoś w rodzaju naturalnej ciszy, jak na wenusjańskie normy. Wypór orograficzny odrzuca znad lądowiska najgorsze wiatry w górę i do nas dociera tylko coś na kształt błędzących zawirowań. Ma to te dobrą stronę, że start i lądowanie są względnie łatwe. A złą, że na płycie osiadają niektóre z zawartych w atmosferze związków metali ciężkich. To, co jest na Wenus uważane za powietrze, ma warstwy czerwonego siarczku i chlorku rtęci na niższych wysokościach, a po wzniesieniu się ponad nie aż do tych ślicznych pierzastych chmur okazuje się, że niektóre z nich to kwas solny i fluorowodorowy.

Ale na to są sposoby. Nawigacja na Wenus jest trójwymiarowa. Przelot z punktu do punktu jest dość łatwy; transponder łączy cię z radiolatarniami i oznacza w sposób ciągły twoją pozycję na mapie. Natomiast trudno jest wybrać właściwą wysokość i właśnie z tego powodu moja kapsuła i ja jesteśmy dla Cochenoura warte milion dolarów.

Byliśmy już przy niej i teleskopowy ryj łazika obmacywał jej służę. Cochenour wyglądał przez iluminator. - Nie ma skrzydeł! - wrzasnął takim tonem, jakbym go chciał oszukać.

- Ani żagli, ani łańcuchów śniegowych - odwrzasnąłem. - Niech pan wsiada na pokład, jeśli

chce pan rozmawiać. W środku łatwiej.

Przecisnęliśmy się przez wąski ryj, otworzyłem wejście i już bez większych kłopotów dostaliśmy się do środka.

Nawet takich kłopotów, jakie sam mógłbym spowodować. Widzicie, kapsuła na Wenus to wielka rzecz. Miałem cholerne szczęście, że udało mi się ją nabyć no i nie ma co kryć, byłem w niej zakochany. Mogła zmieścić dziesięć osób, bez wyposażenia. Z tym, GO nam sprzedał dział handlowy Sub Yastry, a Oddział 88 zatwierdził jako niezbędne na pokładzie, już naszej trójce było ciasno. Byłem przygotowany przynajmniej na sarkastyczne uwagi. Ale Cochenour tylko rozejrzył się w środku, by znaleźć najlepszą koję, podszedł do niej i oświadczył, że należy do niego. Dziewczyna okazała się porządną facetką, a ja zostałem ze wszystkimi gruczołami naładowanymi w oczekiwaniu awantury, która nie wybuchła.

Wewnątrz kapsuły było o wiele ciszej. Hałas wiatru oczywiście dochodził, ale w stopniu ledwie dokuczliwym. Rozdałem zatyczki do uszu, a z nimi hałas nawet nie przeszkadzał.

- Siadajcie i zapnijcie pasy - rozkazałem, a gdy się upakowali, wystartowałem.

Przy dwudziestu tysiącach milibarów skrzydła nie są rzeczą zbędną, to morderstwo. Moja kapsuła miała we własnym muszlowatym kadłubie tyle siły wznoszenia ile było trzeba. Otworzyłem dopływ obu paliw do silników termostrumieniowych, przelecieliśmy w podskokach przez prawie równy teren wokół płyty (raz na tydzień wyrównywały go spychacze, dzięki temu był dość płaski) i wzlecieliśmy świecą w dziką, żółtozieloną dal, a w chwili później w brązowoszarą, przeleciawszy nie więcej niż pięćdziesiąt metrów.

Cochenour dla wygody luźno zapiął pasy. Z przyjemnością słuchałem jak ryczy rzucany tam i z powrotem. Ale to nie trwało długo. Na poziomie tysiąca metrów znalazłem półtrwałą wenusjańską inwersję atmosferyczną i turbulencja uciszyła się do tego stopnia, że mogłem odpiąć pasy i wstać.

Wyjąłem zatyczki z uszu i gestem pokazałem Cochenourowi oraz dziewczynie, by zrobili to samo.

Rozcierał sobie głowę w miejscu, którym uderzył w umocowaną u góry półkę z mapami. Ale przy tym lekko się uśmiechał.

- Wcale podniecające - przyznał, grzebiąc w kieszeni. Po czym przypomniał sobie, że wypada zapytać:

- Czy mogę tu palić?

- Pańskie płuca. Uśmiechnął się szerzej.

- Obecnie tak - zgodził się ze mną i zapalił. - Halo! Czemu nie dał nam pan tych zatyczek, gdy byliśmy w traktorze?

Można by rzec, że w pracy przewodników istnieją okresy, podczas których albo pozwala się klientom zasypywać się pytaniami i spędza cały czas na wyjaśnianiu co ten zabawny zegareczek pokazuje, albo robi się swoje i zarabia pieniądze. Ja zaś zastanawiałem się, czy wyjdę z tego lubiąc Cochenoura i jego dziewczynę, czy nie?

Jeśli tak, postaram się być dla nich uprzejmy. Bardziej niż uprzejmy. Żyć przez trzy tygodnie we trójkę na przestrzeni mniej więcej tej wielkości co wnęka kuchenna przy apartamencie oznaczało, że wszyscy będą musieli usilnie się starać być miłymi dla wszystkich pozostałych, a ponieważ mnie płacono za to bym był miły, powinienem dawać dobry przykład. Z drugiej strony Cochenourowie naszego świata niekiedy po prostu nie są sympatyczni. Jeśli tak się miało zdarzyć, im mniej gadania, tym lepiej; na pytania tego typu jakie mi zadano powinienem odpowiadać wymijająco, na przykład: - "Zapomniałem".

Ale prawdę mówiąc on nie był naprawdę niemiły, a dziewczyna naprawdę starała się zachowywać przyjacielsko. Powiedziałem więc:

- Cóż, to ciekawa sprawa. Słyszysz się dzięki różnicy ciśnień. Gdy startowaliśmy, zatyczki odfiltrowały część dźwięków: fale ciśnieniową, ale kiedy wrzasnąłem na was byście zapieli pasy, zatyczki przepuściły nadciśnienie mego głosu i zrozumieliście co mówię. Ale są granice. Powyżej stu dwudziestu decybeli... to jednostka siły dźwięku...

- Wiem co to decybel - mruknął Cochenour.

- Dobra. Powyżej stu dwudziestu bębenek uszny w ogóle nie reaguje. Więc w łaziku było za głośno, z zatyczkami nie słyszeliście nic.

Dorota przysłuchiwała się, poprawiając równocześnie makijaż oczu.

- A co tam było do usłyszenia?

- Och - powiedziałem - nic takiego. Z wyjątkiem, powiedzmy... - W tym momencie zdecydowałem myśleć o nich jak o przyjaciółach, przynajmniej na razie. - Z wyjątkiem gdyby zdarzył się wypadek. Gdyby nas dopadł poryw wiatru to, rozumiecie, łazik mógłby fiknąć kozła. Albo jakiś twardy przedmiot mógłby nadlecieć zza gór i trafić nas, zanim byśmy się w tym zorientowali. Albo...

Potrząsnęła głową.

- Rozumiem. Cudowne miejsce na wycieczki, Boyce.

- Aha. Ale - dodał - kto teraz pilotuje? Wstałem i uruchomiłem pozorny globus.

- O tym właśnie chciałem mówić. W tej chwili autopilot, kierując nas ogólnie w kierunku tego kwadratu na dole. Dokładny cel lotu musimy wybrać sami.

- Tak wygląda Wenus? - zapytała dziewczyna. - Niezbyt zachęcająco.

- Te linie to markery radiolatarni; przez okno ich nie widać. Na Wenus nie ma oceanów i nie podzielono jej na poszczególne kraje, więc mapa nie jest podobna do mapy Ziemi. Ten jasny punkt to my. Proszę popatrzeć. - Na siatkę radiolatarni! kolory nałożyłem symbole maskonów. - Te rozmazane kółka to maskony. Wiecie co to jest maskon?

- Koncentracja masy. Obszar ciężkich materiałów - powiedziała dziewczyna.

- Pięknie. Teraz proszę popatrzeć na wykryte podziemia Hiczich. - Włączyłem je na globus w postaci złotych wzorów.

- Wszystkie występują w maskonach - powiedziała natychmiast Dorota. Cochenour spojrział na nią z wyrozumiałą aprobatą.

- Nie wszystkie. Proszę popatrzeć tutaj. Ten mały nie i ten drugi też nie. Ale prawie wszystkie. Czemu? Nie wiem. Nikt nie wie. Koncentracje masy to głównie starsze, gęstsze skały, bazalty i tak dalej, i może Hiczi uważali je za łatwiejsze do drażenia. A może je po prostu lubili.

W mej korespondencji z profesorem Hegrametem na Ziemi, w czasach gdy nie miałem w brzuchu zdychającej wątroby i interesowała mnie wiedza teoretyczna, stawialiśmy różne hipotezy: może koparki Hiczich mogły pracować tylko w gęstej skale albo skale o określonym składzie chemicznym. Ale z nimi nie chciałem o tym dyskutować.

- A teraz popatrzcie tutaj, gdzie obecnie jesteśmy. - Obróciłem globus pozorny, odrobinę poruszywszy pokręteł. - To jest wielki wykop, z którego właśnie wyleźliśmy. Widać nawet kształt Wrzeciona. Nawiasem mówiąc to forma tu pospolita. Przyjrzyjcie się, to zobaczycie kilka innych, a są i takie, których nie widać na tym schemacie, ale na miejscu można je dostrzec. Maskon, w którym znajduje się Wrzeciono zwany jest Serendip; został odkryty przypadkowo przez zespół hesperologów...

- Hesperologów?

- Czyli geologów działających na Wenus. Pobierali wiertnicze próbki geologiczne i natrafili na podziemia Hiczich. A te wszystkie podziemia, które widzieliście na dużych szerokościach północnych są położone w jednej gromadzie powiązanych maskonów. Łączą się korytarzami w mniej gęstych skałach, ale tylko wtedy gdy jest to absolutnie konieczne. Cochenour odezwał się ostrym tonem - Leżą na północy, a lecimy na południe. Dlaczego?

Ciekawe, że umiał odczytywać instrumenty nawigacyjne, ale nie powiedziałem, że to zauważyłem. Odrzekłem tylko:

- Są do niczego. Były badane.

- Wyglądają nawet na większe niż Wrzeciono.



- Zgadza się, wielokrotnie większe. Ale nie ma w nich nic ciekawego, a w każdym razie jest niewiele szans na to, że nawet jeśli coś jest, to w takim stanie, że warto sobie tym zawracać głowę. Płyny podpowierzchniowe wypełniły je całkowicie sto tysięcy lat temu, może i dawniej. Masa dobrych ludzi zbankrutowała próbując je wypompować albo rozkopywać. I nic nie znaleźli. Spytajcie mnie. Byłem jednym z nich.

- Nie wiedziałem, że na powierzchni Wenus albo pod nią znajduje się woda w postaci płynnej  
- powiedział z niedowierzaniem Cochenour.

- Nie powiedziałem, że to woda, prawda? Choć w rzeczywistości część z tego to woda albo przynajmniej pewien rodzaj mułu głębinowego. Zdaje się, że woda wyparowuje ze skał i po paru tysiącach lat przedostaje się na powierzchnię, rozpada się na tlen oraz wodór, i ginie. Może przypadkiem wiecie, że jest jej trochę pod Wrzecionem. Właśnie ją piliście i nią oddychaliście.

Odezwała się dziewczyna:

- Boyce, to wszystko bardzo ciekawe, ale jestem spocona i brudna. Czy mogę na chwile zmienić temat rozmowy?

Cochenour zaszczekał, bo trudno to było nazwać śmiechem.

- Sugestia podprogowa, Walthers, zgadza się pan? Oraz trochę, mam nadzieje, staromodnej pruderii. Tak naprawdę to ona chce pójść do toalety.

Gdyby dziewczyna okazała skrępowanie, mnie by się też ono udzieliło. Ale powiedziała tylko:  
- Ponieważ mamy tu mieszkać przez trzy tygodnie, chce wiedzieć, jak ten pojazd jest urządony.

- Oczywiście, panno Keefer - odpowiedziałem.

- Dorota. Dorrie jeśli wolisz.

- Jasne, Dorrie. Cóż, widzisz co tu mamy. Pięć koi, można je podzielić na połowy, jeśli ma spać dziesięć osób. Dwie kabiny natryskowe. Wygląda, że są zbyt ciasne, by się w nich namydlić, ale to się udaje, jeśli się postarać. Trzy toalety chemiczne. Kuchnia tam... i to wszystko. Wybierz sobie koje, Dorrie. Mają opuszczane parawany, na wypadek gdybyś chciała się przebrać czy coś w tym rodzaju, albo gdybyś po prostu przez chwile miała ochotę nas nie oglądać.

Odezwał się Cochenour:

- Jazda, Dorrie, zrób to co chcesz zrobić. Tak czy tak chciałbym, żeby Walthers mi pokazał jak to się pilotuje.

\*

Początek był niezły. Miałem za sobą naprawdę ciężkie doświadczenia: grupy, które

przybywały na pokład pijane i przez cały czas upijały się jeszcze dokładniej, pary, które prowadziły ze sobą wojnę bez minuty przerwy od obudzenia się do zaśnięcia, a godziły się ze sobą tylko po to, by się kłócić ze mną. Ci tutaj wyglądali całkiem nieźle, nawet nie biorąc pod uwagę tego, że mieli ocalić mi życie.

Pilotowanie kapsuły to nic szczególnego, przynajmniej gdy idzie o kierowanie jej w stronę, w którą chce się lecieć. Atmosfera Wenus zapewnia wyporność z nadstatkiem. Nie ma zmartwienia, że się w czymś zakopie a w ogóle autopilot prawie cały czas za was myśli.

Cochenour uczył się szybko. Okazało się, że pilotował na Ziemi wszystko co może latać, a do tego pływał jednoosobowymi łódkami podwodnymi. Gdy mu powiedziałem, że najtrudniejszą częścią pilotażu jest umiejętność wyboru właściwej wysokości lotu i przewidywania, kiedy trzeba ją będzie zmienić, zrozumiał natychmiast. Ale zrozumiał też, że tego się w jeden dzień nie nauczy. Ani nawet w trzy tygodnie.

- Cóż u diabła, Walthers - powiedział całkiem wesołym tonem - przynajmniej będę to umiał skierować gdzie trzeba, jeśli utkniesz w tunelu albo zastrzeli cię zazdrosny mąż.

W odpowiedzi uśmiechnąłem się na tyle, na ile ten dowcip zasługiwał. Czyli prawie wcale.

- Umiem jeszcze coś - dodał. - Gotować. Chyba, że ty jesteś doskonałym kucharzem? Zgadza się, ja też myślałem, że nie. Ano, za drogo zapłaciłem za mój żołądek, by go napychać byle czym, więc gotowanie należy do mnie. To sztuka, której Dorrie nigdy nie udało się opanować. Zupełnie jak jej babce. Najpiękniejsza kobieta świata, ale przekonana, że to najzupełniej wystarczy.

Nad tym postanowiłem zastanowić się. później; ten 90 - letni, młody sportowiec co chwila czymś mnie zaskakiwał. Powiedział:

- Dobra, więc gdy Dorrie zużywa całą wodę. w natryskach...

- Nie ma strachu, działa w obiegu zamkniętym.

- Wszystko jedno. Gdy ona robi ze sobą porządek, kończmy ten pana referacik na temat celu naszej podróży.

- Zgoda. - Obróciłem odrobinę globus pozorny. Błyszczący punkt, który nas oznaczał przesunął się. już z tuzin stopni. - Widzi pan to zgrupowanie w miejscu, gdzie nasza trasa przecina siatkę radiolatarni?

- Aha. Pięć dużych maskonów jeden przy drugim i żadnych zaznaczonych wykopalisk. Czy to tam lecimy?

- Ogólnie rzecz biorąc, tak.

- Dlaczego ogólnie?

- Ponieważ - ciągnąłem - jest pewien drobiazg, o którym panu nie mówiłem. Mam nadzieję, że nie podskoczy pan jak oparzony z tego powodu, bo wtedy ja też będę musiał podskoczyć i powiedzieć, że powinien był pan sobie zadać trochę trudu i dowiedzieć się czegoś o Wenus przed zabraniem się do jej eksploracji.

Przez chwile przyglądał mi się badawczo. Dorrie cicho wysunęła się z kabiny natryskowej, ubrana w długi szlafrok, z włosami zawiniętymi w ręcznik i stanęło koło niego, przyglądając się nam.

- To zależy od tego, czego mi pan nie powiedział - odrzekł.

- Na większości z tych maskonów są znaki zakazu wejścia - powiedziałem. Włączyłem na globusie mapę pilotażową i wokół zgrupowania zajaśniały jaskrawoczerwone linie ostrzegawcze.

- Północnobiegunowy obszar zamknięty - dodałem. - Tutaj chłopcy z Departamentu Obrony mają wyrzutnie raketowe i znaczną część terenów doświadczalnych dla nowych broni. I nie wolno nam tam wchodzić.

- Ale małeńki kawałek jednego maskonu nie jest na terenie zakazanym - powiedział szorstko.

- I tam właśnie się udajemy - odparłem.

## VI

Jak na człowieka ponad pięćdziesięcioletniego, Boyce był zwawy. To oznacza, że nie tylko zdrowo wyglądał. Każdy człowiek na Pełnej Lekarskiej tak wygląda, bo po prostu wymienia mu się wszystko co zużyte, albo co zaczyna wyglądać na kiepskie lub podniszczone. Ale nie da się skutecznie przeszczepić mózgu. Dlatego bardzo bogaci starcy mają silne, opalone ciała, które trzęsą się, chwieją, upuszczają przedmioty i potykają się idąc. Pod tym względem Cochenour miał szalone szczęście.

Na najbliższe trzy tygodnie zapowiadał się jako meczący towarzysz podróży. Uparł się, żebym mu pokazał jak się pilotuje kapsułę powietrzną. Gdy zdecydowałem się, by podczas lotu dokonać, może trochę przedwczesnego, co tysięcgodzinnego przeglądu systemu chłodzenia, pomagał mi zdejmować osłony, sprawdzać poziom cieczy chłodzącej i czyścić filtry. Następnie zdecydował, że ugotuje nam lunch.

Jako mój pomocnik, przy przekładaniu części zapasów, by móc się dostać do sond autosonarowych, zastąpiła go dziewczyna. Wewnątrz kapsuły, poziom hałasu był na tyle wysoki, że Cochenour nie mógł usłyszeć rozmowy prowadzonej normalnym głosem w odległości większej niż trzy metry. Pomyślałem, że może coś od niej na jego temat wyciągnę. I zdecydowałem tego nie robić. Wiedziałem, że opłaca koszt nowej wątroby. Do tego nie była mi potrzebna wiedza o tym, co on i dziewczyna myśleli o sobie nawzajem.

Rozmawialiśmy więc o tym jak sondy odpalają swe ładunki i mierzą czas powrotu echa i jakie mamy szansę znalezienia czegoś naprawdę, wartościowego ("No cóż, jakie są szansę na główną wygraną w totalizatorze? Marne dla każdego z kupujących kupon, ale zawsze ktoś gdzieś wygra!"), a przede wszystkim z jakiego powodu przybyłem na Wenus. Wymieniłem nazwisko mego ojca, ale nigdy o nim nie słyszała. Przede wszystkim była na pewno za młoda. I urodziła się i wychowała w południowym Ohio, gdzie Cochenour pracował jako młody chłopak i gdzie wrócił jako miliarder. Budował tam nowy ośrodek przetwórczy i to wywołało masę kłopotów: kłopot ze związkiem zawodowym, kłopot z bankami, kłopoty, wielkie kłopoty z rządem. Zdecydował więc wziąć paromiesięczny urlop i poleniuchować. Spojrzałem w stronę., gdzie stał mieszając sos i powiedziałem:

- On leniuchuje ciężiej niż ktokolwiek mi znany.
- To narkoman pracy. Sądzę, że przede wszystkim dlatego stał się bogaczem.

Kapsułę, chwycił przechył, więc rzuciłem wszystko i skoczyłem do sterów. Usłyszałem, że Cochenour zawył za moimi plecami, ale byłem zajęty ustalaniem właściwej wysokości lotu. Gdy wspięliśmy się o tysiąc metrów wyżej i przeprogramowałem autopilota stwierdziłem, że rozciera sobie nadgarstek groźnie na mnie patrząc.

- Przepraszam - powiedziałem. Odpowiedział surowo:

- Nie przeszkadza mi, że przez pana się oparzyłem, zawsze mogę sobie kupić nową skórę, ale prawie że rozlałem sos.

Sprawdziłem nasze położenie na pozornym globusie. Jasny punkt przebył już dwie trzecie drogi do celu.

- Czy zaraz będzie gotów? - zapytałem. - Za godzinę będziemy na miejscu. Po raz pierwszy wyglądał na zaskoczonego.

- Tak szybko? O ile pamiętam, powiedział pan, że polecimy z szybkością poddźwiękową.

- Tak powiedziałem. Jest pan na Wenus, Mr Cochenour. Na tej wysokości szybkość dźwięku wynosi około pięciu tysięcy kilometrów na godzinę.

Zamyślił się, ale odpowiedział tylko:

- No to możemy zjeść w każdej chwili. - Później, gdy skończyliśmy lunch, dodał: - Zdaje się, że nie wiem o tej planecie wszystkiego, co powinienem. Jeśli chce pan wygłosić zwyczajowy wykład przewodnika, słuchamy.

Odrzekłem: - No cóż, ogólny zarys znają państwo dobrze. Ale, ale, panie Cochenour, jest pan świetnym kucharzem. Sam pakowałem wszystkie nasze zapasy, lecz nie mani najmniejszego pojęcia co jem.

- Jeśli przyjdiesz do mego biura w Cincinnati - powiedział - pytaj o pana Cochenoura. Ale póki mieszkamy trzymając jeden drugiemu głowę pod pachą, możesz równie dobrze mówić mi Boyce. A jeśli ci smakuje, czemu nie jesz?

Właściwą odpowiedzią byłoby: ponieważ to by mnie zabiło. Ale nie chciałem zaczynać dyskusji prowadzącej do wyjaśnienia, czemu tak bardzo potrzebują pieniędzy. Odrzekłem więc:

- Zalecenie lekarskie, bym trzymał się z dala na pewien czas od tłuszczów. Przypuszczam, iż oni myślą, że za dużo tyje.

Cochenour spojrział na mnie badawczo, ale powiedział tylko:

- Wykład?

- Zaczynijmy od najważniejszego - odrzekłem, ostrożnie nalewając kawę. - Póki siedzimy w

kapsule, możecie robić co chcecie, spacerować, jeść, pić, palić jeśli macie co, cokolwiek. System chłodzenia wytrzymuje obecność trzykrotnie większej ilości osób, plus ich żywności i wyposażenia, z dwukrotnym współczynnikiem bezpieczeństwa. Powietrza i wody mamy więcej niż potrzeba na dwa miesiące. Paliwa dość na trzykrotną podróż tam i z powrotem i jeszcze na manewrowanie. Gdyby coś było nie tak, zawołamy o pomoc, ktoś nadleci i zabierze nas najdalej po paru godzinach, prawdopodobnie chłopcy z Obrony, a oni mają kapsuły naddźwiękowe. Najgorszy byłby wypadek, gdyby korpus pękł i cała atmosfera Wenus spróbowała się dostać do środka. Gdyby to poszło szybko, byłibyśmy martwi. Ale to nigdy nie idzie szybko. Mielibyśmy dość czasu, by włożyć skafandry a w nich możemy żyć trzydzieści godzin. O wiele dłużej niż potrzeba, by nas odnaleźli.

- Oczywiście zakładając, że równocześnie nic się nie stanie z radiem - zauważył Cochenour.

- Zgoda. Wszędzie można zastać zabitym, jeśli dostateczna ilość wypadków zdarzy się naraz. Nalał sobie drugi kubek kawy, wlał do niego odrobinę koniaku i powiedział:

- Dalej.

- Ale na zewnątrz kapsuły jest trochę zabawniej. Ma się tylko skafander, a on działa, jak mówiłem, tylko trzydzieści godzin. Problem chłodzenia. Wody i powietrza można zabrać ile się chce, z jedzeniem też nie ma kłopotów, ale uwolnienie się od wydzielanego przez człowieka ciepła pochłania masę zasobów energetycznych. System chłodzenia wymaga paliwa, a gdy ono się kończy, lepiej być z powrotem w kapsule. Śmierć z porażenia cieplnego nie jest najgorsza. Traci się przytomność nim zaczyna boleć. Ale w końcowym wyniku jest się trupem.

Druga sprawa to obowiązek sprawdzania skafandra przed każdym włożeniem. Trzeba go nadmuchać pod ciśnieniem i obserwować, czy nie ma przecieków. Ja też będę je sprawdzać, ale nie liczcie na mnie. To kwestia waszego życia i śmierci. Szyby hełmów są bardzo mocne, można wbijać nimi gwoździe i nie stłuką się, ale można je złamać mocnym uderzeniem o bardzo twardą powierzchnię. W ten sposób także się umiera.

- Mam jedno pytanie - powiedziała spokojnie Dorrie. - Czy zginął ktoś z twoich turystów?

- Nie. Ale u innych tak. Co roku ginie pięciu czy sześciu.

- To całkiem niezłe szansę - oświadczył Cochenour. - Ale nie o taki wykład mi chodziło, Audee. Oczywiście chce wiedzieć w jaki sposób zachowuje się życie, ale myślę, że i tak powiedziałabyś nam to wszystko przed opuszczeniem statku. Chciałem się raczej dowiedzieć, w jaki sposób wybrałaś te właśnie maskony do zbadania.

Ten stary pryk z ciałem kulturysty zaczął mi działać na nerwy. Miał niepokojący sposób zadawania pytań, na które nie chciałem odpowiadać. Oczywiście wybrałem to miejsce z określonych powodów; wynikało to z moich pięcioletnich badań, masy kopania i korespondencji kosztem około ćwierci miliona dolarów opłat poczty kosmicznej, z takimi ludźmi jak profesor Hegramet na Ziemi.

Ale nie zamierzałem podawać mu wszystkich przyczyn. Miejsc, które chciałem zbadać, było z

tuzin. Jeśli to okaże się jednym z dochodowych, Cochenour wyjdzie z tego bogatszy niż ja, tak przynajmniej mówił podpisany kontrakt; 40 procent dla czarterującego, 25 dla przewodnika a reszta dla władz. I to mu powinno wystarczyć. Gdyby miejsce okazało się puste, nie chciałem, by wziął sobie innego przewodnika, do któregoś z innych, jakie zaznaczyłem.

Odrzekłem więc tylko:

- Powiedzmy, że jest to zgadywanka oparta na wiadomościach. Obiecałem ci, że natrafimy na tunel, który nigdy nie był otwierany i mam nadzieję, że tego dotrzymam. A teraz skończmy z jedzeniem, jesteście o dziesięć minut od celu.

\*

Gdy wszystko było już uwiązane a my w pasach, odpadliśmy z warstw względnie spokojnych do strefy wielkich wiatrów.

Byliśmy nad wielkim masywem południowocentralnym, na tej samej prawie wysokości co tereny otaczające Wrzeciono. Na tej wysokości na Wenus dzieje się najwięcej. Na nizinach i w głębokich dolinach ryftowych ciśnienie wynosi pięćdziesiąt tysięcy milibarów i więcej. Moja kapsuła nie wytrzymałaby tego przez dłuższy czas, ani niczyja inna, z wyjątkiem paru do zadań specjalnych i modeli wojskowych. Na szczęście Hiczich też nie interesowały doliny. Niewiele z tego, co po nich zostało, było położone poniżej granicy dwudziestu barów. Co oczywiście nie oznacza, że nic tam nie ma.

W każdym razie sprawdziłem nasze położenie na pozornym globusie i na - mapach szczegółowych i wyrzuciłem sondy autosonarowe. Gdy tylko oderwały się do kapsuły, porwał je wiatr i rozrzucił na całej przestrzeni pod nami. Wygodną rzeczą było, że właściwie obojętne było gdzie spadną. Najpierw leciały jak oszczepy, następnie rozleciały się jak słomki, aż wreszcie zadziałały ich rakiety a stery systemu ładowania skierowały je ku ziemi.

Wszystkie wbiły się w grunt tak jak trzeba. Nie zawsze ma się takie szczęście, początek był więc dobry.

Skontrolowałem ich rozmieszczenie na mapie szczegółowej; było bliskie trójkątowi równobocznemu, czyli właśnie takie jak należy. Następnie włączyłem lokator i zacząłem krążyć w kółko.

- A co teraz? - zaryczał Cochenour. Zauważyłem, że dziewczyna skorzystała z zatyczek do uszu, ale on nie chciał niczego przepuścić.

- Teraz czekamy by sondy zaczęły wymacywać tunele Hiczich. To potrwa parę godzin. - Równocześnie zacząłem opuszczać kapsułę w dół przez warstwy przypowierzchniowe. Zaczęło nami rzucać. Trzęsło paskudnie, hałas był nie lepszy.

Ale znalazłem to co chciałem, formacje powierzchniową podobną do ślepego jaru i posadziłem

nas tam po zaledwie jednej czy dwóch przykrych chwilach. Cochenour przyglądał się temu bardzo uważnie, a ja uśmiechałem się pod wąsem. To w takich momentach liczy się umiejętność pilotażu, nie w czasie przelotu ani na sztucznych lądowiskach koło Wrzeciona. Gdyby to potrafił, mógłby współpracować z kimś takim jak ja.

Nasze miejsce wyglądało okay, wstrzeliłem więc cztery kotwy: zębate pale z głowicami wybuchowymi, które otwierają się w ziemi. Naciągnąłem je z całą mocą, wszystkie trzymały.

To też był dobry znak. Dość zadowolony z siebie rozpiąłem pasy i wstałem.

- Zatrzymamy się tutaj przynajmniej dzień lub dwa - powiedziałem. - Dłużej, jeśli nam się poszczęści. Jak wam się podobała przejażdżka?

Teraz, gdy chroniące nas ściany jaru obniżyły poziom huk z gromowego do zaledwie ciągłego wrzasku, dziewczyna wyjęła zatyczki z uszu.

- Cieszę się, że nie dostałam choroby powietrznej - powiedziała.

Cochenour myślał a nie gadał. Zapalił kolejnego papierosa i przyglądał się pulpitem sterownicemu.

- Jeszcze jedno pytanie, Audee - dodała Dorota. - Czemu nie mogliśmy pozostać w górze gdzie jest spokojniej?

- Paliwo. Mam w bakach na około trzydzieści godzin pełnego ciągu, ale to wszystko. Czy hałas ci przeszkadza?

Skrzywiła się.

- Przyzwyczaisz się. To tak, jakby się mieszkało koło kosmodromu. Na początku dziwisz się, jak ktokolwiek wytrzymuje taki hałas tylko przez jedną godzinę. A po tygodniu brak ci go, gdy zapanuje cisza.

Podeszła do iluminatora i z namysłem przyjrzała się krajobrazowi. Przelecieliśmy na półkule nocną i dużo tam do oglądania nie było prócz piachu i drobnych przedmiotów przelatujących w słupach światła naszych reflektorów.

- Właśnie niepokoi mnie ten pierwszy tydzień - odrzekła.

Włączyłem odczyt sond. Małe głowice perkusyjne odstrzeliwały swe mikroładunki i mierzyły wzajemnie dźwięki, ale było za wcześnie by coś z tego wywnioskować. Na ekranie ledwie zaczynały się pojawiać cienie zarysów, więcej było dziur niż rysunku.

Wreszcie odezwał się Cochenour:

- Ile czasu minie, nim coś z tego wyczytasz? - zapytał. Znowu coś ciekawego, nie pytał co to



jest.

- Zależy od tego jak blisko jesteśmy i jak to jest duże. Za około godzinę można zacząć zgadywać, ale wole mieć wszystkie dane. Powiedziałbym za sześć czy osiem godzin. Nie ma pośpiechu.

- Ja się śpieszę, Walthers - mruknął. - Pamiętaj o tym.

- Co możemy zrobić, Audee? - wtrąciła się dziewczyna. - Zagrać w brydża z dziadkiem?

- Na co tylko masz ochotę, ale radziłbym trochę się przespać. Mam proszki nasenne, jeśli ich potrzebujesz. Jeśli coś znajdziemy, a pamiętaj, że jest tylko jedna szansa na sto, by nam się powiodło za pierwszym razem, będziemy musieli być w pełni sił przynajmniej przez pewien czas.

- Zgoda - powiedziała Dorota, sięgając po pigułki, ale Cochenour zapytał:

- A co z tobą?

- Za chwilę. Czekam na coś.

Nie spytał na co. Zapewne dlatego, pomyślałem, że już wie. Kładąc się na koi postanowiłem nie brać od razu proszka nasennego. Ten Cochenour był nie tylko moim najbogatszym turystą w całej mojej karierze, ale także najlepiej poinformowanym i chciałem to sobie przemyśleć.

- To, na co czekałem, nastąpiło dopiero po godzinie. Chłopcy zrobili się trochę niedbali; powinni byli wpaść na nas wcześniej.

Radio zabrzęczało a po tym zagrzmiało:

- Niezidentyfikowany statek na jeden - trzy - pięć, zero - siedem, cztery - osiem i siedem - dwa, pięć - jeden, pięć - cztery! Proszę podać dane i cel podróży!

Cochenour spojrzał pytająco znad stołu, gdzie grał z dziewczyną w remika. Uśmiechnąłem się uspokajająco.

- Póki mówią "proszę", nie ma sprawy - powiedziałem i włączyłem nadajnik.

- Tu pilot Audee Walthers, kapsuła Poppa Tarę Dziewięć Jeden, przylot z Wrzeciona. Jesteśmy zarejestrowani i mamy zatwierdzony plan lotów. Na pokładzie dwoje Ziemiaków - turystów, cel eksploracja rozrywkowa.

- Przyjęte. Proszę poczekać - zagrzmiało radio. Wojskowi zawsze nadają najwyższą mocą. Bez wątplenia kac z czasów musztry podoficerskiej.

Wyłączyłem mikrofon i powiedziałem pasażerom:

- Sprawdzają nasz plan lotów. Nie ma problemu.

Moment później odezwała się stacja wojskowa, głośno jak zawsze.

- Jesteście jedenaście koma cztery kilometrów w położeniu jeden - osiem - trzy stopni od obszaru zakazanego. Poruszajcie się ostrożnie. Zgodnie z Regulaminami Wojskowymi Jeden - Siedem i Jeden - Osiem, rozdziały...

Przerwałem:

- Znam regulaminy. Jestem licencjonowanym przewodnikiem i wyjaśniłem zakazy pasażerom.

- Przyjęte - ryknęło radio. - Będziecie pod naszą obserwacją. Jeśli zauważycie statki albo grupy ludzi na powierzchni, będą to nasze patrole graniczne. Nie przeszkadzajcie im w żadnym wypadku. Odpowiadajcie natychmiast na każde żądanie indentyfikacji lub informacji. - Fala nośna przestała brzęczeć.

- Wygląda na to, że są nerwowi - rzekł Cochenour.

- Nie. Są przyzwyczajeni do naszej obecności. Po prostu nie mają nic do roboty i to wszystko. Dorrie odezwała się, z wahaniem:

- Audee, powiedziałeś im, że wyjaśniłeś nam zakazy. Nic takiego sobie nie przypominam.

- Och, naprawdę wyjaśniłem. Trzymamy się na zewnątrz obszaru zakazanego, bo inaczej zaczną strzelać. I to jest Całe Prawo.

## VII

Budzik nastawiłem na czwartą, a tamci usłyszeli jak się krzątam i także wstali. Dorrie przyniosła nam kawę z ogrzewacza. Wypiliśmy ją na stojąco, przyglądając się rysunkowi stworzonemu przez komputer.

Przestudiowanie go zabrało trochę czasu, choć nawet na pierwszy rzut oka obraz był dość jasny. Było tam osiem dużych anomalii, które mogły być norami Hiczych. Jedna prawie tuż pod naszymi drzwiami. Nie musielibyśmy nawet przenosić kapsuły by się do niej dogrzebać.

Kolejno pokazałem im wszystkie anomalie! Zamyślony Cochenour patrzył na nie w milczeniu. Dorota zapytała po chwili:

- Czy to znaczy, że wszystkie te tunele nie były badane?

- Nie. Chciałbym, aby tak było. Ale, po pierwsze którykolwiek albo wszystkie mogły być wykorzystane przez kogoś, komu się nie chciało tego zarejestrować. Po drugie, to nie muszą być tunele. Mogą to być uskoki tektoniczne, albo dajki, albo rzeczki stopionej skały, która skądś wypłynęła, skamieniała i została przykryta inną warstwą przeszło miliard lat temu. Jedyne co wiemy na pewno to to, że w tym rejonie nie ma żadnych niewyeksplorowanych tuneli z wyjątkiem tych ośmiu miejsc.

- Wiec co robimy?

- Kopiemy. A wtedy zobaczymy co tu jest.

- Gdzie kopiemy? - zapytał Cochenour.

Pokazałem palcem miejsce tuż przy błyszczącej delcie naszej kapsuły. - Dokładnie tutaj.

- Czy tu są największe szanse?

- No, niekoniecznie. - Zastanowiłem się co mu powiedzieć i doszedłem do wniosku, że najlepiej prawdę. - Trzy wyglądają lepiej niż pozostałe... Zaraz je oznaczę.. - Nacisnąłem klawisze mapy i przy najbardziej obiecujących miejscach natychmiast ukazały się błyszczące litery A, B i C. 7 "A" przebiega dokładnie pod naszym jarem, wiec tu zaczniemy.

- Te trzy są najlepsze bo najjaśniejsze?

Kiwnąłem głową, trochę zirytowany jego bystrością, chociaż sprawa była raczej oczywista.

- Ale "C" jest najjaśniejsze ze wszystkich. Czemu tam nie zaczniemy? Starannie dobieierałem słowa.

- Ponieważ musielibyśmy przenieść kapsułę. I dlatego, że leży tuż przy granicy sondowanego obszaru, to znaczy wyniki nie są tak godne zaufania jak te dotyczące leżącego tuż pod nami. Ale i to nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest, że "C" leży na skraju linii, od której nasi przyjaciele ze swędzącymi palcami każą nam trzymać się z daleka.

Cochenour zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Chcesz mi powiedzieć, że znalazłszy naprawdę niewyeksplorowany tunel Hiczich nie podejdziesz do niego tylko dlatego, że jakiś żołnierz powiedział ci, że to jest be?

- Ten problem jeszcze nie powstał - odrzekłem. - Mamy do obejrzenia siedem dozwolonych anomalii. Ponadto wojskowi będą nas sprawdzać od czasu do czasu, a szczególnie jutro, może też i pojutrze.

- No dobrze - nalegał Cochenour - przypuśćmy, że je sprawdzimy i nic nie znajdziemy. Co wtedy? Potrząsałem głową.

- Nigdy nie pcham palca między drzwi. Zbadajmy dozwolone.

- Ale przypuśćmy.

- Do diabła! Boyce! Skąd ja mogę wiedzieć?

Dał więc spokój, ale mrugnął do Dorrie i parsknął śmiechem.

- No i co ci mówiłem? Z nas dwóch on jest większym bandytą.

\*

Przez następne parę godzin niewiele mieliśmy okazji do rozmowy o teoretycznych możliwościach, bo zbyt nas pochłaniały konkretne fakty.

Najważniejszym z nich były potworne masy gorącego gazu o dużej szybkości, któremu nie mogliśmy pozwolić, by nas zabił. Mój kombinezon żaroodporny był szyty na miarę i wystarczyło tylko sprawdzić jego połączenia i zbiorniki. Boyce i dziewczyna mieli wynajęte. Zapłacili za nie ogromną sumę. Były dobre, ale dobre nie znaczy jeszcze doskonałe. Kazałem im wkładać je i zdejmować z tuzin razy, sprawdzając dopasowanie i zmieniając ciśnienie aż okazało się, że lepiej już nie można. Gdy się spaceruje po powierzchni Wenus, trzeba chronić się od straszego gorąca i ciśnienia. Skafandry były z dwunasto-warstwowego laminatu, z dziewięcioma stopniami swobody na istotnych łączeniach. Były niezawodne i nie tym się martwiłem. Martwiłem się o wygodę, bo

małeńkie swędzenie albo otarcie może stać się poważną sprawą, gdy nie ma sposobu by tego uniknąć.

Aż wreszcie były dość dobre, więc wcisnęliśmy się. wszyscy do służy i wyszliśmy na powierzchnie Wenus.

Ciągle jeszcze byliśmy po stronie odsłonecznej, ale w atmosferze jest tyle rozproszonego światła, że naprawdę ciemno jest nie dłużej niż przez czwartą część nocy. Kazałem im przeciwzyć chodzenie wokół kapsuły, pochylanie się pod wiatr, wiązanie się do kotw i boku statku. Ja zaś przygotowywałem wykop.

Wytaszczyłem na zewnątrz pierwsze błyskawiczne igloo, zaciągnąłem je na miejsce i zapaliłem. Żarząc się zaczęło się nadymać jak dziecinna zabawka zwana węzami faraona, wytwarzając lekki, odporny popiół, który rósł wokół przyszłego wykopu aż połączył się w kopułę bez szwu. Ustawiłem przed tym na miejscu palnik drążący i rękaw służujący; w miarę jak popiół narastał, przesuwalem służę, by uzyskać ściśle połączenie i już za pierwszym razem miałem bezbłędny szew.

Widząc jak macham ręką, Dorrie i Cochenour trzymali się z dala, ale razem, przyglądając mi się przez hełmy panoramiczne. Włączyłem radio.

- Chcecie wejść i popatrzeć, jak zaczynam? - krzyknąłem. Oboje pokiwali głowami wewnątrz hełmów.

- To włączcie - odkrzyknąłem i wpelzłem do środka przez rękaw. Dałem znak, by został otwarty gdy pójdą za mną.

Z nami trojgiem i aparaturą drążącą w igloo było jeszcze ciaśniej niż w kapsule. Cofnęli się pod półkoliste ściany tak daleko jak się dało, ja zaś włączyłem wiertnie, sprawdziłem czy stoją pionowo i patrzyłem, jak pierwsze odłamki wysypują się spiralnie z otworu.

Piankowe igloo więcej dźwięków pochłania niż odbija. Ale mimo to łoskot w jego wnętrzu był znacznie większy niż wycie wiatru na zewnątrz. Gdy doszedłem do wniosku, że widzieli dość jak na początek, gestem kazałem im wypełznąć przez rękaw, wdrapałem się za nimi, zamknąłem za nami służę i poprowadziłem ich z powrotem do kapsuły.

- Jak dotąd w porządku - powiedziałem, odkręcając hełm i rozluźniając skafander. - Myślę, że mamy jakieś czterdzieści metrów do przewiercenia. Równie dobrze możemy poczekać tu jak tam.

- Ile potrzeba na to czasu?

- Z godzinę. Możecie robić, co wam się podoba, ja wezmę prysznic. A później zobaczymy, dokąd dotarliśmy.

Jedną z miłych stron tego, że na pokładzie przebywały tylko trzy osoby było, że nie musieliśmy

ograniczać zużycia wody. Zadziwiające, jak szybki natrysk ożywia po wyjściu z żaroodpornego skafandra. Gdy skończyłem, byłem gotów na wszystko.

Byłem nawet gotów zjeść coś ze smakoszowskich potraw Boyce Cochenoura, ale na szczęście nie było to konieczne. Gotowanie przejęła dziewczyna i to co podała było proste, lekkostrawne i w miarę nietrujące. Na jej kuchni być może zdołałem wyżyć na tyle długo, by odebrać moje honorarium. Na chwilę przeleciało mi przez głowę pytanie, dlaczego to zrobiła, następnie pomyślałem, że oczywiście ma sporą praktykę. Ze wszystkimi częściami zamiennymi Cochenour bez wątpienia miał znacznie gorsze problemy z dietą niż ja.

No, może nie dosłownie "gorsze", nie przypuszczałem, by z ich powodu był tak bliski śmierci jak ja.

\*

Według sond autosonarowych, najwyższy punkt tunelu, który oznaczyłem jako "A" czy to, co tam było podobnego do tunelu z punktu widzenia ich fal uderzeniowych, znajdował się blisko ślepej dolinki, w której zakotwiczyłem.

Szczęśliwie się złożyło. Mogło to oznaczać z dużym prawdopodobieństwem, że jesteśmy blisko wejścia zbudowanego przez samych Hiczich.

Powód, dla którego to było szczęśliwym wydarzeniem nie wynikał z tego, abyśmy byli w stanie skorzystać z niego w taki sposób jak to robili Hiczi. Małe były szanse, by jego mechanizm działał po ćwierci miliona lat, wystawiony po większej części na wiatry powierzchniowe, ablacje, i korozje chemiczną. Dobrą natomiast stroną było to, że w tym miejscu będzie względnie łatwo dowiercić się do niego. Nawet w ciągu ćwierci miliona lat nie wytwarza się skała naprawdę twarda, szczególnie przy braku wody powierzchniowej, rozpuszczającej ciała stałe i wytwarzającej zwarte osady.

Do pewnego stopnia wszystko przebiegało zgodnie z moimi przewidywaniami. Na powierzchni byt prawie wyłącznie spopielały piasek i wiertnie wgryzały się weń bardzo szybko. Zbyt szybko; gdy wróciłem do igloo, było ono prawie dokładnie wypełnione odłamkami i miałem piekielną robotę z przestawianiem mechanizmu wiertni na usunięcie gruzu przez służę rękawa.

Była to nudna, brudna cześć roboty, lecz nie trwała długo.

Nie zadałem sobie trudu wracania do kapsuły. Zgłosiłem co się dzieje Boyce'owi i dziewczynie przez radio. Wyglądali ku mnie przez iluminatory. Powiedziałem im, że przypuszczam, iż się zbliżamy.

Ale nie powiedziałem im dokładnie jak blisko jesteśmy. W rzeczywistości byliśmy tylko o metr czy dwa od oznaczonej głębokości anomalii, tak blisko, że nie zadałem sobie trudu wyciągnięcia wszystkich odłamków. Zrobiłem sobie tylko tyle miejsca, ile potrzeba by móc manewrować, następnie przestawiłem wiertnie i po pięciu minutach nadpływające odłamki zaczęły lekko świecić na niebiesko. Po tym można było poznać tunel Hiczich.



## VIII

Jakieś dziesięć minut później włączyłem hełmofon i krzyknąłem:

- Boyce! Dorrie! Dotarliśmy do tunelu!

Albo już siedzieli ubrani w skafandry, albo ubierali się szybciej niż którykolwiek ze szczurów podziemnych. Otworzyłem rękaw i podpełzłem, by im pomóc, a oni już wychodzili z kapsuły, chwając się od uderzeń wiatru.

Oboje wywrzaskiwali pytania i gratulacje, ale im przerwałem.

- Do środka - rozkazałem. - Zobaczycie sami. - Prawdę mówiąc nie trzeba było iść tak daleko. Gdy tylko uklękli, by wpełznąć przez rękaw, musieli zauważyć kolor.

Poszedłem za nimi, zamykając śluzę za sobą. Powód tego był bardzo prosty. Jak długo tunel nie został przebity, nie ma znaczenia, co robicie. Ale we wnętrzu nienaruszonego tunelu Hiczich panuje ciśnienie niewiele wyższe, niż normalne ziemskie. Kiedy brak hermetycznej kopuły, w chwili gdy przebija się ścianę, wpuszcza się do środka całą 20.000 - milibarową atmosferę Wenus z gorącym, ablacją i wszystkim innym. Jeśli tunel jest pusty albo zawiera tylko proste, odporne przedmioty, szkód nie będzie. Ale jeśli trafiłeś na wielką pulę, niszczysz w ciągu pół sekundy to, co czekało ćwierć miliona lat.

Zgromadziliśmy się wokół szybu. Pokazałem palcem w dół. Wiertnie wykonały gładki otwór, około siedemdziesiąt centymetrów na trochę ponad sto, o zaokrąglonych kątach. Na dnie widać było chłodny niebieski blask, trochę przesłonięty i plamisty od resztek gruzu, którego nie trudziłem się wydobyć.

- Co teraz? - spytał Boyce głosem chrapliwym z podniecenia, co, jak przypuszczam, było dość naturalne.

- Teraz wytopimy sobie przejście do środka.

Kazałem moim klientom cofnąć się tak daleko jak zdołają. Przytulili się do stosu odłamków w igloo, a ja umocowałem palniki. Już wcześniej zmontowałem nad szybem dźwig nożycowy, więc mogłem opuścić je bez kłopotu na kablach, aż znalazły się o parę centymetrów nad sklepieniem tunelu. Wtedy je zapaliłem.



Nie należy sądzić, by jakiegokolwiek ludzkie działanie mogło zmienić temperaturę na powierzchni Wenus, ale te ogniowiertnie były czymś specjalnym, W małym igloo ciepło uderzało z dołu jak płomień, ogarnęło nas i w parę sekund systemy chłodzenia naszych żaroodpornych skafandrów już były przeciążone.

Dorrie dech zaparło.

- Och! Ja... ja chyba zaraz...

Cochenour chwycił ją twardą ręką.

- Mdlej, jeśli masz ochotę - powiedział brutalnie - ale nie rzygaj. Walthers! Ile czasu to potrwa? Było mi równie ciężko jak im; praktyka bynajmniej nie przyzwyczajają do czegoś podobnego do długiego pobytu przed otwartymi wrotami wielkiego pieca.

- Może z minutę - wysapałem. - Trzymajcie się... wszystko w porządku.

W rzeczywistości potrwało trochę dłużej, może z dziewięćdziesiąt sekund. Wskaźniki głośno alarmowały przez ponad połowę tego czasu. Ale skafandry zbudowano tak, by wytrzymały podobne przeciążenia i jeśli się tylko w nich nie ugotujemy, nie pozwolą byśmy doznali trwałego uszczerbku. I już było po wszystkim. Półmetrowy, kolisty wycinek przekrzywił się, przechylił na jeden bok i tak zawisł.

Zgasilem ogniowiertnie i przez parę minut wszyscy ciężko oddychaliśmy, a zespoły chłodzące skafandrów stopniowo dochodziły do siebie.

- Ach - westchnęła Dorota. - To było dość ciężkie.

Spojrzałem na Cochenoura. W świetle bijącym z dna szybu dostrzegłem, że zmarszczył brwi. Nie odezwał się. Włączyłem palnik jeszcze na pięć sekund by odciąć do końca półmetrową klapę. Spadła do tunelu. Słysząc było, jak uderzyła o podłogę.

Wtedy włączyłem hełmofon.

- Nie ma różnicy ciśnienia - powiedziałem.

Nie rozchmurzył się ani nie odezwał.

- Co oznacza, że ten był przebity - kontynuowałem. - Wracamy do kapsuły na odpoczynek zanim weźmiemy się za coś innego.

Dorota krzyknęła:

- Audee! Co się z tobą dzieje? Chce zejść na dół i zobaczyć co jest w środku! Cochenour odezwał się cierpko:

- Zamknij się, Dorrie. Nie słyszałaś, co powiedział? To niewypał.

Oczywiście istnieje zawsze szansa, że przebity tunel został naruszony przez wstrząs sejsmiczny, a nie szczura podziemnego z ogniowiernią. Jeśli tak było, mógł zawierać coś wartościowego. I nie miałem sumienia jednym uderzeniem gasić całego entuzjazmu Doroty.

Zjechaliśmy więc do nory Hiczich po kablu, jedno za drugim i rozejrzeliśmy się.

Był całkowicie pusty, jak większość z nich, przynajmniej w zasięgu wzroku. Co oznacza niezbyt daleko bo kolejna trudność z przebitym tunelem polega na tym, że dla jego eksploracji potrzeba bardzo dobrego sprzętu. Po przeciążeniach jakich doznały, nasze skafandry były skutecznym zabezpieczeniem jeszcze na jakieś parę godzin, ale niewiele ponad to i gdy przeszliśmy z pół mili tunelem, moi turyści chcieli już zawracać do kapsuły.

Umyliśmy się i zrobili sobie coś do picia. Nawet wypapranie jeszcze więcej wody z naszych rezerw nie poprawiło nam humorów.

Musieliśmy coś zjeść, ale Cochenourowi nie chciało się urządzać kolejnego pokazu dla smakoszy. Dorota w milczeniu wrzuciła tacki do kuchenki mikrofalowej i w ponurym nastroju zaczęliśmy przeżuwać nasze żelazne porcje.

- No cóż, to dopiero pierwszy - powiedziała w końcu, zdecydowana patrzeć na sprawę optymistycznie. - 1 jesteśmy tu dopiero drugi dzień.

- Przymknij się, Dorrie - odrzekł Cochenour. - Jedyna rzecz jakiej nie umiem dobrze robić, to przegrywać. - Wpatrywał się w ekran ze schematem nakreślonym przez sondy. - Walthers, ile z tuneli jest nie zaznaczonych ale pustych, jak ten tutaj?

- Jak mogę na to odpowiedzieć? Jeśli są nie zaznaczone to znaczy, że ich nie zarejestrowano.

- Więc te ślady nic nie znaczą. Możemy co dzień przez najbliższe trzy tygodnie przebijać się do jednego i stwierdzić, że wszystkie są puste.

Kiwnąłem głową.

- Z całą pewnością, Boyce. Spojrzał na mnie bystro.

- Więc?

- To jeszcze nie najgorsze. Wozilem na wykopki grupy, które zwariowałyby ze szczęścia otwierając nawet przebite tunele. Można wiercić codziennie całymi tygodniami i w ogóle nie natrafić na prawdziwy hiczijski tunel. Nie wściekaj się, za swoje pieniądze miałeś trochę rozrywki.

- Mówiłem ci, Walthers, że nie umiem przegrywać. Ani zajmować drugiego miejsca. - Zastanawiał się przez chwilę, po czym warknął: - Ty wybrałeś to miejsce. Wiedziałaś, co robisz?

Czy wiedziałem? Jedyłą odpowiedzią na to pytanie mogło być znalezienie nienaruszonego tunelu, to oczywiste. Mógłbym mu opowiedzieć, jak miesiącami studiowałem sprawozdania począwszy od pierwszego lądowania. Mogłem wspomnieć, w ile kłopotów się pakowałem i ile przepisów złamałem, by uzyskać raporty o pomiarach robionych przez wojsko, albo jak dalekie odbywałem podróże, by pogadać z załogami z Obrony, uczestniczącymi w pierwszych wykopkach. Mógłbym mu powiedzieć, jak trudno było odnaleźć starego Jorolemona Hegrameta, obecnie wykładającego archeologie pozaziemską w Tennessee i ile listów wymieniliśmy. Ale powiedziałem tylko:

- Fakt, iż znaleźliśmy jeden tunel dowodzi, że znam moją robotę przewodnika. I tylko za to zapłaciłeś, czy szukamy dalej czy nie, to twoja sprawa.

Przyglądał się z namysłem swym paznokciom. Dziewczyna odezwała się pocieszającym tonem:

- Weź się w garść, Boyce. Pomyśl o tych wszystkich dalszych możliwościach, jakie mamy. A nawet jeśli nam się nie uda, to będzie fajny temat do opowieści dla wszystkich tam w Cincinnati.

Nawet na nią nie spojrział. Powiedział tylko:

- Czy istnieje jakikolwiek sposób określenia czy tunel był przebity czy nie, bez wchodzenia do środka?

- Oczywiście - odrzekłem. - Można to stwierdzić stukając z zewnątrz w jego ścianę. Różnica dźwięku jest wyraźna.

- Ale najpierw trzeba się do niego dowiercić?

- Zgadza się.

Na tym stanęło. Znów ubrałem się w skafander, by zdemontować nieużyteczne już igloo, abyśmy mogli przenieść świdry.

W rzeczywistości chciałem uniknąć dalszej dyskusji, by mi nie zadał pytania, na które musiałbym odpowiedzieć niezgodnie z prawdą. Staram się w miarę możliwości nie kłamać, bo tak najłatwiej zapamiętać to, co się powiedziało.

Z drugiej strony nie jestem fanatycznie przywiązany do prawdy i uważam, że nie do mnie należy prostowanie niewłaściwych wrażeń, które ktoś odniósł. Na przykład było oczywiste, że Cochenour i jego dziewczyna mieli wrażenie, że nie zadałem sobie trudu ostukiwania ściany tunelu, ponieważ już się do niego dowierciliśmy i równie łatwo było ją przebić.

Ale oczywiście zbadałem go. Była to pierwsza rzecz, jaką zrobiłem, gdy tylko świder dotarł na właściwą głębokość. I gdy usłyszałem "puk" wysokiego ciśnienia, serce ścisnęło mi się z żalu. Nie byłem zdolny zawołać ich i powiedzieć, że osiągnęliśmy ścianę zewnętrzną, musiałem odczekać parę

minut.

W tym czasie nie zdołałem się do końca zdecydować, co bym im powiedział, gdyby okazało się, że tunel jest nienaruszony.

## IX

Cochenour i Dorrie Keefer byli pięćdziesiątą czy sześćdziesiątą grupą, którą wiozłem na hiczijskie wykopki i nie zdziwiłem się, że chcieli pracować jak chińscy kulisi. Nie obchodzi mnie, jak leniwi czy znudzeni są turyści początkowo. W chwili, gdy mają przed nosem szansę znalezienia czegoś należącego do prawie całkiem nieznannej, obcej rasy i pozostawionego tu, gdy na Ziemi czymś najbliższym istoty ludzkiej było kosmate zwierzątko o cofniętym czole, mordujące inne zwierzęta kośćmi antylop, turystów ogarniała gorączka poszukiwania.

Pracowali więc ostro i ostro mnie popędzali, a ja byłem równie podniecony jak oni, A może i więcej w miarę jak dni upływały a ja zorientowałem się, że coraz częściej rozcieram sobie prawą stronę brzucha tuż pod klatką piersiową.

Przez pierwsze parę dni chłopcy z wojska przelatywali nad nami z pół tuzina razy. Wiele nie mówili, zadawali formalne pytania o identyfikacje, na które odpowiedzi zresztą znali, po czym odlatywali. Regulamin powiada, że gdy się coś znajdzie, trzeba o tym natychmiast zameldować. Mimo sprzeciwów Cochenoura zgłosiłem im znalezienie tego pierwszego przebitego tunelu, co, jak sądzę, zaskoczyło ich nieco.

I to wszystko co mieliśmy do zameldowania.

Stanowisko "B" okazało się dajką pegmatytową. Dwa następne dość jasne, które nazwałem D i E, nic nie ujawniły. Oznaczało to, że odbicia dźwięków nastąpiły prawdopodobnie o niewidzialne granice fazowe w warstwach skały, popiołu lub żwiru. Postawiłem weto przeciw wszelkim próbom kopania w "C", najbardziej obiecującym ze wszystkich. Cochenour z tego powodu pokłócił się ze mną śmiertelnie ale nie ustąpiłem. Wojskowi nadal przyglądali się nam od czasu do czasu i nie chciałem jeszcze bardziej niż teraz zbliżać się do ich granicy. Na wpół obiecałem, że jeśli nie poszczęści nam się nigdzie w maskonach, wrócimy chyłkiem do "C", by szybko tam powiercić nim zawrócimy do Wrzeciona. I na tym się skończyło.

Wystartowaliśmy kapsułą, przelecieliśmy na nowe miejsce i wystrzeliliśmy nowy zestaw sond. Pod koniec drugiego tygodnia mieliśmy za sobą dziewięć wierceń, za każdym razem pustych. Zaczęły nam się kończyć igloo i sondy. A wzajemną tolerancję całkiem diabli wzięli.

Cochenour stał się dziki i ponury. W czasie pierwszego spotkania nie planowałem, że polubię tego człowieka, ale nie spodziewałem się, że będzie aż tak paskudny. Biorąc pod uwagę, iż dla niego była to tylko zabawa, bo przy całym jego bogactwie dodatkowy majątek, który mógł zyskać

odkrywając jakieś nowe hiczijskie artefakty nie był niczym więcej jak dopisaniem jeszcze paru punktów na jego tabeli wygranych, robił to z czystej nienawiści.

Prawdę mówiąc, ja też nie byłem szczególnie łaskaw. Było jasne jak słońce, że pigułki ze Znachorni nie pomagały mi tak jak powinny. W ustach miałem smak, jakby gnieździły się tam szczury. Zaczęła mnie boleć głowa. Przewracałem przedmioty. Sprawa z wątrobą ma się tak, że reguluje ona wewnętrzną dietę. Odfiltrowuje trucizny, przekształca pewne węglowodany w inne, które dają się przyswajać, zlepia aminokwasy w proteiny. Jeśli tego nie robi, umiera się. Doktor zbadał mnie od stóp do głów, więc mogłem sobie dokładnie wyobrazić jak mahoniowoczerwone komórki zamierają i zastępują je złogi tłuszczu i żółtawej materii. Brzydki obrazek. A najbrzydsze było to, że nic na to nie mogłem poradzić. Tylko brać pigułki, a te nie będą skutkowały dłużej niż jeszcze parę dni. Wątrobo pa - pa, wysiadka i cześć.

Byliśmy więc na stopie wojennej. Cochenour był skurczybykiem, gdyż bycie skurczybykiem leżało w jego naturze, a ja byłem skurczybykiem, bo byłem chory i zdesperowany. Jedynym przyzwoitym człowiekiem na pokładzie okazała się dziewczyna.

Robiła co mogła, naprawdę się starała. Czasem była słodka a często nawet ładna i zawsze gotowa wyjść naprzeciw więcej niż na pół drogi autorytetom, to znaczy Cochenourowi i mnie. Była jeszcze dzieckiem. Niezależnie od tego, jak dorosłą odgrywała, nie żyła jeszcze tak długo, by stworzyć sobie środki obrony przeciw skoncentrowanej podłości. Dodajcie do tego, że wszyscy zaczynaliśmy nienawidzić wzajemnie swego widoku, głosu i zapachu (a w kapsule dowiedzieć się można dokładnie, jak człowiek pachnie). Na Wenus niewiele radości było dla Dorrie Keefer.

Ani dla żadnego z nas, szczególnie gdy powiedziałem, że zostało nam tylko ostatnie igloo.

Cochenour odchrząknął. Miał minę pilota samolotu myśliwskiego otwierającego osłony działek przed walką. Dorrie spróbowała więc odwrócić jego uwagę, zmieniając temat.

- Audee - powiedziała z uśmiechem - myślę, że wiesz co można zrobić? Możemy wrócić do tego miejsca, które tak dobrze wyglądało, koło terenów wojskowych.

To nie był dobry kierunek odwracania uwagi. Potrząsnąłem głową.

- Nie.

- Co do cholery chcesz powiedzieć przez to "nie"? - zagrzmał Cochenour, znów szykując się do bitwy.

- To, co powiedziałem. Nie. To numer dla desperatów, a takim desperatem nie jestem.

- Walthers - warknął - będziesz desperatem, jeśli ci każe. Zawsze mogą wstrzymać wypłatę tego czeku.

- Nie, nie możesz. Związek zawodowy ci nie pozwoli. Przepisy są tu, bardzo wyraźne. Musisz

płacić jeśli nie odmówię wykonania polecenia zgodnego z prawem; nie możesz mnie zmusić do czegokolwiek bezprawnego. A wejście na zastrzeżony teren wojskowy jest skrajnie bezprawne. Przełączył się na zimną wojnę.

- Nie - odrzekł cicho - tu się mylisz. Jest bezprawne, jeśli sąd tak orzeknie po fakcie. Wygrasz wtedy, jeśli twoi prawnicy będą sprytniejsi od moich. A szczerze mówiąc, Walthers, płace moim prawnikom za to, by byli najsprytniejsi ze wszystkich.

Niemiłą stroną tego wszystkiego było to, że miał racje w o wiele większym stopniu niż sądził, bo moja wątroba też była po jego stronie. Nie mogłem sobie pozwolić na sprawę, sądową, bo bez jego pieniędzy i mojego przeszczepu bym jej nie dożył.

Dorrie, przysłuchując się nam z przyjaznym zainteresowaniem na dziewczęcej twarzy, znowu się wtrącała.

- No to może inaczej? Po prostu wylądujemy tutaj. Czemu nie poczekać, aż sondy coś pokażą? Może natrafimy nawet na coś lepszego niż w miejscu "C"...

- Nic dobrego tu nie znajdziemy - odpowiedział, nie patrząc na nią.

- Ależ Boyce, skąd możesz wiedzieć? Jeszcze nie skończyliśmy sondowania. Odpowiedział:

- Uważaj Doroto, słuchaj uważnie, a potem się zamknij. Walthers gra z nami w ciuciubabkę. Wiesz, gdzie teraz jesteśmy?

Przecisnął się koło mnie i wystukał program wyświetlania całej mapy, co mnie trochę zdziwiło, bo nie wiedziałem, że on wie jak to się robi. Ukazały się mapy z pozornymi obrazami naszej pozycji, szybów, które dotychczas wywierciliśmy i wielki, nieregularny zarys granicy terenu wojskowego, wszystko nałożone na siatkę maskonów i punktów nawigacyjnych.

- Widzisz? W tej chwili nie jesteśmy nawet na obszarach koncentracji masy. Zgadza się, Walthers? Sprawdziliśmy wszystkie dobre miejsca i bez wyników?

- Po części ma pan racje, panie Cochenour - powiedziałem. - Ale nie gram w ciuciubabkę. Miejsce jest obiecujące. Może pan sprawdzić na mapie. Nie jesteśmy nad żadnym maskonem, to prawda, ale jesteśmy dokładnie między dwoma bardzo zbliżonymi. Niekiedy znajduje się korytarze łączące dwa kompleksy podziemne i zdarzało się, że korytarz łącznikowy był nawet bliżej powierzchni niż jakakolwiek inna część kompleksu. Nie mogę zagwarantować, że natrafimy na cokolwiek, ale to nie jest niemożliwe. .

- Tylko cholernie nieprawdopodobne?

- Cóż, nie bardziej nieprawdopodobne, niż gdziekolwiek indziej. Powiedziałem panu już tydzień temu, że już się panu wszystko opłaciło pierwszego dnia, gdy znaleźliśmy w ogóle jakiś tunel Hiczych, nawet przebity. We Wrzecionie są szczury podziemne, które próbowały przez pięć lat i

nawet tego im się nie udało zobaczyć. - Zastanowiłem się przez chwile. - Możemy zawrzeć umowę - dodałem.

- Słucham.

- Wylądujemy tutaj i mamy przynajmniej szansę, że na coś natrafimy. Spróbujemy. Wyrzucimy sondy i zobaczymy, co pokażą. Jeśli dobry rysunek, wiercimy. Jeśli nie, to pomyśle nad wróceniem do punktu "C".

- Pomyślisz! - ryknął.

- Nie naciskaj mnie, Cochenour. Nie wiesz, w co się pchasz. Teren wojskowy to nie zabawka. Ci chłopcy najpierw strzelają, a potem pytają o nazwisko. A na Wenus nie ma sądów ani policji, by ich o cokolwiek spytały.

- No, nie wiem - odrzekł po chwili.

- Tak, nie wie nań, panie Cochenour. I za to mi pan płaci. Ja wiem.

- Owszem - przyznał - zapewne pan wie, ale czy o tym co pan wie, mówi mi pan prawdę, to jeszcze pytanie. Hegramet nigdy nie wspominał o wierceniu między maskonami.

I popatrzył na mnie z zupełnie obojętną miną, czekając czy zareaguje na to, co powiedział. Nie dałem się nabrać. Odwzajemniłem mu się równie obojętnym spojrzeniem. Nie odezwałem się ani słowem, po prostu czekałem co dalej. Byłem całkiem pewien, że nie padnie żadne wyjaśnienie, skąd zna nazwisko Hegrameta, ani co go łączy z największym ziemskim autorytetem w sprawach hiczijskich wykopalisk. I nie padło.

- Wystrzel swoje sondy. Raz jeszcze poprobujemy twoim sposobem - powiedział wreszcie.

\*

Wyrzuciłem sondy, wszystkie dobrze się wbiły. Uruchomiłem odstrzał mikroładunków. Usiadłem przed ekranem śledząc pierwsze pojawiające się linie jakbym się spodziewał, że przyniosą użyteczne informacje. Oczywiście nie mogły, ale miałem dobrą wymówkę, by chwile pomyśleć w spokoju.

Trzeba było zastanowić się nad Cochenourem. Nie przyleciał na Wenus na wycieczkę, to było jasne. Jeszcze zanim opuścił Ziemię, wiedział, że będzie wiercił szyby w poszukiwaniu podziemi Hiczich. Przeszkolił się dokładnie, włącznie z nauczaniem się obsługi aparatury w kapsule. Moje przemówienie reklamowe o skarbach hiczijskich zmarnowało się, bo klient był już zdecydowany przynajmniej o pół roku wcześniej i miliony mil stąd.

To wszystko rozumiałem, ale im więcej rozumiałem, tym bardziej wiedziałem, że nie rozumiem. Najchętniej dałbym Cochenourowi ćwierć dolara i wysłał go do kina, by porozmawiać



prywatnie z dziewczyną. Niestety, nie było go dokąd wysłać. Udałem, że ziewam, poskarżyłem się na nudę czekania aż sondy ukończą rysunek i zaproponowałem drzemkę. Bynajmniej nie spodziewałem się, że będzie leżał z nastawionymi uszami podsłuchując nas. To nie miało znaczenia. Nikt nie udawał śpiącego prócz mnie. Jedyne co osiągnąłem, to propozycja Dorrie, że będzie przyglądać się ekranowi i obudzi mnie, jeśli pojawi się coś ciekawego,

Wiec powiedziałem sobie: do diabła z tym wszystkim i sam poszedłem spać.

Nie było to przyjemne, bo leżenie w oczekiwaniu na sen dało mi dość czasu by zauważyć, jak naprawdę parszywie się czuje i na jak wiele sposobów. W gardle miałem bez przerwy smak żółci, nie tak silny żeby mi się chciało rzygać, ale taki, jakbym to właśnie zrobił. Głowa mnie bolała, a na skrajach mego pola widzenia zaczęły się pojawiać niejasne majaki. Gdy brałem pigułki, nie policzyłem ile ich jeszcze zostało. Nie chciałem wiedzieć.

Budzenie nastawiłem sobie za trzy godziny, mając nadzieje, że może do tego czasu Cochenour zrobi się senny i położy się, a dziewczyna będzie na nogach i może skłonna do rozmowy. Ale gdy się obudziłem, na nogach był Cochenour, smażący sobie aromatycznie przyprawiony omlet z resztki sterylizowanych jajek.

- Miałeś racje, Walthers - wyszczerzył zęby. - Byłem śpiący. Uciałem sobie drzemkę. Jestem gotów do każdej pracy. Chcesz trochę jajek?

Oczywiście chciałem, ale oczywiście nie odważyłem się zjeść ich, więc posępnie przełknąłem to, na co pozwolono mi w Znachorni i patrzyłem, jak się obżera. To było nieuczciwe, że człowiek dziewięćdziesięcioletni mógł być tak zdrow, że nie musiał myśleć o trawieniu, podczas gdy ja... No cóż, takie myśli nic nie dawały, wobec tego zaproponowałem trochę muzyki. Dorrie wybrała, Jezioro Łabędzie" i włożyłem je do odtwarzacza.

I wtedy przyszło mi coś do głowy. Udałem się do szafek narzędziowych. Głowice wiertni nadawały się już prawie do wymiany, a wiedziałem, że mamy mało części zamiennych. Ale szafki leżały w najdalszym od kabiny miejscu kapsuły, ja zaś spodziewałem się, że Dorrie pójdzie za mną.

- Pomóc ci, Audee?

- Będzie mi miło - odrzekłem. - O, potrzymaj to dla mnie. Nie wysmaruj się tłuszczem.

Nie oczekiwałem, że mnie będzie pytała, czemu ma je trzymać. I nie spytała. Zaśmiała się tylko.

- Tłuszczem? Nie sądzę, bym go w ogóle mogła zauważyć, tak jestem brudna. Sądzę, że dojrzewamy do powrotu do cywilizacji.

Cochenour siedział ze zmarszczonymi brwiami nad ekranem sond i nie zwracał na nas uwagi. Spytałem:

- Do jakiej cywilizacji? Wrzeczona czy Ziemi?

Chciałem ją naprowadzić na rozmowę o Ziemi, ale nie wyszło.

- Ależ Wrzeczona, Audee. Myślę, że jest fascynujące i niewieleśmy z niego poznali. Ani mieszkających tam ludzi. Na przykład ten facet z Indii, który ma kawiarnię. Kasjerka jest jego żoną, prawda?

- Jedną z nich. To Żona Numer Jeden, kelnerką jest Numer Trzy, a z dziećmi w domu siedzi jeszcze jedna. Dzieci ma pięcioro, ze wszystkich trzech żon. Ale chciałem rozmawiać o czymś innym, więc dodałem:

- Właściwie to jest tak jak na Ziemi. Yastra mógłby prowadzić knajpę dla turystów w Benares, gdyby jej nie miał tutaj, gdyby nie przyleciał z wojskiem i nie ukończył tu służby. A ja, przypuszczam, byłbym przewodnikiem w Teksasie. Oczywiście, jeśli jeszcze został tam choć skrawek otwartej przestrzeni, wymagającej przewodnika, może w górze Canadian River. A ty?

Przez cały czas brałem z półek te same cztery czy pięć narzędzi, odczytywałem ich numery i odkładałem z powrotem. Nie zauważyła tego.

- Co masz na myśli?

- No, co robiłaś przed przybyciem tutaj?

- Och, pewien czas pracowałam w biurze Boyce'a.

To było zachęcające, może będzie coś pamiętała o jego powiązaniach z profesorem Hegrametem. - Czy byłaś sekretarką?

- Coś w tym rodzaju. Boyce dawał mi do załatwienia... oj, a to co? Był to sygnał wezwania przez radio, oto co.

- Chodź się zgłosić - warknął Cochenour z drugiego końca kapsuły.

Przyjąłem wezwanie na słuchawki, bo taki mam zwyczaj; w kapsule nie ma dość miejsca na prywatne rozmowy, a ja chciałem zachować sobie takie okruszki, jakie jeszcze się dało. Wywoływała nas baza wojskowa, przy aparacie znana mi sierżant łączności nazwiskiem Kolanko. Zgłosiłem się poirytowany, żałując, że straciłem możliwość wyciągnięcia z Doroty czegoś o jej szefie.

- Słówko prywatnie do ciebie, Audee - powiedziała sierżant Kolanko. - Czy twój sąhib jest w pobliżu?

Kolanko i ja prowadziliśmy od dawna pogaduszki przez radio i coś było w jej wesołym głosie, co mnie zaniepokoiło. Nie spojrzałem na Cochenoura, lecz wiedziałem, że słucha. Oczywiście tylko

mnie, z powodu słuchawek.

- W polu, ale nie odbiera - powiedziałem. - Co macie dla mnie?

- Biuletynik informacyjny - zamruczała sierżant. - Nadszedł siecią synchrosatelitów parę minut temu. Tylko dla informacji. To znaczy, że my nie mamy z tym co robić, ale może ty, kochanie.

- Gotów - powiedziałem, wpatrując się w plastikową obudowę radiostacji. Sierżant zagadała.

- Kapitan statku czarterowanego przez twego sahiba chce z nim zamienić parę słówek, gdy go znajdzie. To chyba pilne, bo kapitan jest strasznie wkurzony.

- Tak, baza - odrzekłem. - Odbieram cię dobrze, poziom dziesięć.

Sierżant wydała znowu odgłos rozbawienia, tylko tym razem nie było to gdaknicie, a zwyczajny chichot.

- Chodzi o to - dodała - że jego czek za czarter odrzucono. Chcesz wiedzieć, co bank powiedział? Nigdy nie zgadniesz. "Brak pokrycia", to właśnie powiedział.

Pod żebrami z prawej strony bolało mnie bez przerwy, ale w tym momencie znacznie bardziej. Zacisnąłem szczeki.

- Ach, sierżancie Kolanko - wycharczałem - czy może pani, eee, sprawdzić te ocenę?

- Niestety, kochanie - zabręczała ze współczuciem - ale nie ma cienia wątpliwości, Kapitan dostał ocenę jego zdolności kredytowej i brzmiała: "zero". Na twego klienta czeka we Wrzecionie sądowy nakaz zapłaty.

- Dziękuję za komunikat synoptyczny - powiedziałem głuchym głosem. - I sprawdzę czas odlotu przed startem.

Wyłączyłem radio i spojrzałem na mego klienta - miliardera.

- Co ci jest u diabła, Walthers? - mruknął.

Nie słyszałem go. Słyszałem to, co mi powiedział zadowolony z siebie typunio w Znachorni. Równań nie sposób było zapomnieć. Forsa - nowa wątroba plus szczęśliwe przeżycie. Brak forsy - całkowita dysfunkcja wątroby plus śmierć. A moje źródło forsy właśnie wyschło.

## X

Kiedy się usłyszy naprawdę ważną nowinę trzeba jej pozwolić popłynąć małym strumyczkiem przez własny system nerwowy i całkowicie wchłonąć, nim się cokolwiek uczyni. To nie sprawa wyciągnięcia wniosków. Wyciągnąłem je natychmiast, a jakże. To sprawa umożliwienia nerwom powrotu do stanu równowagi. Wiec przez minutę się zastanawiałem. Słuchałem Czajkowskiego. Sprawdziłem, czy radio jest wyłączone, jakbym chciał oszczędzać energie. Sprawdziłem wykres synoptyczny. Byłoby miłe, gdyby coś wykazał, ale w tej sytuacji nie mógł, więc nie wykazywał. Zarysowywały się nieliczne słabe echa. Ale nic o kształcie hiczijskich podziemi i nic szczególnie jasnego. Dane ciągle jeszcze nadchodziły, ale te słabe zarysy w żaden sposób nie mogły się zmienić w sygnał pełnego korytarza, który uratowałby nas wszystkich, nawet zbankrutowanego Cochenoura. Nawet oglądałem przez iluminator ile się dało nieba, jakbym mógł z tego wywnioskować coś na temat pogody. Nie miało to znaczenia, choć trochę, białych chmurków chlorku rtęciowego przemykało wśród purpurowych i żółtych chmur innych halogenków rtęci. Było to piękne i budziło we mnie wstęś.

Cochenour zapomniał o swym omlecie i przyglądał mi się z namysłem. Tak samo Dorrie, ciągle trzymająca w rękach zapakowane w przetłuszczony papier głowice. Uśmiecnałem się do niej.

- Ładna - zauważyłem, mając na myśli muzykę. Orkiestra Filharmonii Auckland właśnie zaczynała te. cześć, gdzie ukazują się małe łabędzie i w szybkim, skocznym pas de quatre przechodzą przez scenę. To jeden z moich ulubionych fragmentów „Jeziora Łabędziego”.

- Reszty posłuchamy później - powiedziałem i wyłączyłem odtwarzacz.

- Dobra - warknął Cochenour - co się dzieje?

Usiadłem na pakunku z igloo i zapaliłem papierosa, ponieważ jeden ze sposobów dostosowania się do nowej sytuacji, dokonanych przez mój system wewnętrzny polegał na obliczeniu, że już nie musimy pieścić się z naszymi zapasami tlenu.

- Jest coś, co mnie intryguje, Cochenour - odezwałem się. - W jaki sposób natrafiłeś na profesora

Hegrameta? Odprężył się i wyszczerzył zęby.

- I tylko o to ci idzie? Sprawdziłem wszystko co trzeba o miejscu gdzie się udawałem. A czemu

nie?

- Wszystko jasne, z wyjątkiem tego, że starałeś się dać mi do zrozumienia, że nie masz o niczym pojęcia. Wzruszył ramionami.

- Gdybyś miał krztyne rozumu, to byś wiedział, że nie dzięki głupocie zostałem bogaty. Myślisz, że podróżowałbym dziesiątki milionów mil, nie wiedząc do czego zmierzam?

- Oczywiście nie, ale robiłeś co mogłeś, bym myślał, że nie wiesz. Bez znaczenia. Wiec wygrzebałeś kogoś, kto mógł cię naprowadzić na coś, co warto ukraść na Wenus, a ten ktoś skierował cię do Hegrameta. I co dalej? Czy ci powiedział, że jestem dość tępy, by zostać twoim popychadłem?

Cochenour już nie był tak odprężony, ale nie był jeszcze agresywny. Odpowiedział:

- Hegramet powiedział mi, że jesteś odpowiednim przewodnikiem w poszukiwaniu nienaruszonego tunelu. I to wszystko, prócz informacji o Hiczich i tak dalej. Gdybyś nie przyszedł do nas, musiałbym pójść do ciebie, ty tylko mi tego oszczędziłeś.

Odrzekłem z lekkim zdziwieniem:

- Wiesz, mam wrażenie, że mówisz prawdę. Przemilczałeś tylko jedną rzecz: że nie szukałeś tu przyjemności, którą daje zrobienie jeszcze większej forsy, lecz w ogóle forsy. Zgadza się? Forsy, której potrzebujesz.

Zwróciłem się do Doroty, która stała jak skamieniała z głowicami w rękach.

- Co ty na to, Dorrie? Wiedziałaś, że stary zbankrutował?

Nie było to zbyt zręczne postawienie sprawy. Zorientowałem się co zrobi, na moment nim to uczyniła i skoczyłem z igloo, na którym siedziałem. O ułamek sekundy za późno. Wypuściła głowice nim je pochwyciłem, ale na szczęście upadły na płask i ich ostrza się nie wyszczerbiły. Podniosłem je i położyłem z boku. To była wyczerpująca odpowiedź na moje pytanie. -

- Widać, że nie wiedziałaś - dodałem. - Masz pecha, kochanie. Jego czek dla kapitana wycarterowanego statku został odrzucony i mam prawo sądzić, że ten, który dał mnie jest niewiele lepszy. Mam nadzieję, że to co od niego dostałaś, to były futra i biżuteria i radzę ci je dobrze schować, nim wierzyciele zaczną żądać zwrotu.

Nawet na mnie nie spojrzała. Patrzyła tylko na Cochenoura. Jego mina wystarczyła jej za odpowiedź. Nie wiem, czego się po niej spodziewałem, wściekłości, wyrzutów, czy łez. A ona tylko szepnęła:

- Ach Boyce, tak mi przykro. - Podeszła i wzięła go w ramiona.

Odwrociłem się do nich plecami, bo nie miałem ochoty na to patrzeć. Krzepki dziewięćdziesięcioletni cap na Pełnej Lekarskiej zmienił się w przegranego starca. Po raz pierwszy wyglądał na wszystkie swoje lata, a może i więcej: półotwarte, trzęsące się usta; zgarbione plecy, zażawione niebieskie oczy. Głaskała go, gruchając z cicha.

Spojrzałem ponownie na siatkę synoptyczną nie mając nic lepszego do roboty. Była już zupełnie jasna i całkiem pusta. Pokrywała się w połowie z obszarem naszych poprzednich sondowań, wiedziałem więc, że interesujące linie na brzegach nie były naprawdę niczym ciekawym. Już je badaliśmy. To były tylko zjawy ekranowe.

Stąd ratunek nie nadejdzie.

Może to dziwne, ale poczułem się jakby spokojniej. Świadomość, że nie ma się już nic do stracenia, uspokaja. Zmienia perspektywę. Nie chce przez to powiedzieć, że się poddałem. Ciągle jeszcze mogłem coś zrobić. Może nic, co by mi przedłużyło życie, ale smak w ustach i ból w brzuchu i tak niezbyt pozwalały mi nim się cieszyć. Mogłem na przykład w ogóle skreślić Audee Walthersa, bo tylko cud mógłby mnie uratować od śmierci w ciągu kilku dni; byłem zdolny przyjąć do wiadomości fakt, że za tydzień od tej chwili nie będzie mnie wśród żywych i użyć tego czasu na coś innego. Ale na co? No cóż, Dorrie to dobre dziecko: Mogłem polecić kapsułę do Wrzeciona, przekazać Cochenoura żandarmom i spędzić ostatnie dni na wyrabianiu jej kontaktów. Yastra czy Be - Gie pomogą jej stanąć na nogi. Może nawet nie będzie musiała wziąć się za prostytutki czy oszustwa. Szczyt sezonu nie był tak odległy, a ona może nieźle dawać sobie radę otworzywszy kiosk z wachlarzami modlitewnymi czy hiczijskimi amuletami dla Ziemiaków - turystów. Może to niewiele, nawet z jej punktu widzenia, ale już coś.

Mogłem też zdać się na łaskę Znachorni. Może zgodziliby się dać mi nową wątrobę na kredyt. Jedyne przesłanką jaką miałem do przypuszczenia, że tego nie zrobią, wynikała z faktu, że nigdy tego nie robili.

Mogłem też otworzyć zawory zbiorników obu paliw, pozwolić im się mieszać przez około dziesięć minut i włączyć zapłon. Po wybuchu niewiele by zostało z kapsuły i z nas, a nic zupełnie z naszych problemów.

Albo...

- Och, do cholery - powiedziałem. - Weź się w garść, Cochenour. Jeszcześmy nie umarli. Gapił się na mnie przez minutę. Poklepał dziewczynę po ramieniu i odepchnął, dość łagodnie.

- Ale ja umrę i to szybko - powiedział. - Przepraszam cię za to wszystko, Doroto. A ciebie za czek, Walthers. Myślę, że potrzebowałeś tych pieniędzy.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo.

- Czy chcesz, bym się wytłumaczył? - zapytał z wysiłkiem.

- Nie sądzę, by to robiło jakąkolwiek różnicę, ale tak", z czystej ciekawości, chciałbym.

Pozwoliłem mu mówić, a on zrobił to spokojnie i zwięźle. Mogłem się tego spodziewać. Człowiek w jego wieku jest albo bardzo, bardzo bogaty, albo martwy. On był tylko dość bogaty. Jego zakłady funkcjonowały tylko dzięki temu, co zostawało po odprowadzeniu różnymi kanałami kosztu przeszczepów i kuracji, kalcyfilaksji i protetyki, tu regeneracji białek, ówdzie płukania cholesterolu, milion za to, sto kafli tygodniowo za tamto... i tak leciało, to było jasne.

- Po prostu nie zdajesz sobie sprawy - powiedział - ile kosztuje utrzymanie przy życiu stuletniego człowieka, póki nie spróbujesz.

- Chciałeś powiedzieć dziewięćdziesięcioletniego - poprawiłem go odruchowo.

- Nie, nie dziewięćdziesięcio i nawet nie stu. Sądzę, że mam przynajmniej sto dziesięć a może i więcej. Kto by liczył? Płaci się lekarzom, a oni cię łąatają na miesiąc czy dwa. Nie zdajesz sobie sprawy.

O, czyżby? - pomyślałem. Pozwoliłem mu kontynuować, opowiadać, jak federalni inspektorzy skarbowi zaczęli mu następować na pięty i jak dał dęba z Ziemi, by od początku zacząć robić majątek na Wenus.

Przestałem słuchać i zacząłem pisać na odwrocie blankietu nawigacyjnego. Gdy skończyłem, podałem go Cochenourowi.

- Podpisz - powiedziałem.

- Co to jest?

- A czy to ma znaczenie? Nie masz już wyboru, prawda? A zresztą... To jest zrzeczenie się wszelkich praw z tytułu umowy o najem kapsuły; oświadczenie, że nie masz wobec mnie żadnych roszczeń, że twój czek to kant i że dobrowolnie zrzekasz się na moją rzecz wszystkiego, co możemy znaleźć.

Zmarszczył brwi.

- A to ostatnie zdanie?

- Że dam ci dziesięć procent wszystkiego co znajdziemy, jeżeli coś znajdziemy.

- To jałmużna - powiedział, ale podpisał. - Nie obrażam się za jałmużnę, szczególnie od chwili, jak podkreśliłeś, gdy nie mam innego wyboru. Ale umiem odczytać ten wykres tak samo dobrze jak ty, Walthers, i wiem, że nie ma tu nic do znalezienia.

- Nie ma - potwierdziłem, składając papier i chowając do kieszeni. - Ale nie będziemy wiercić

tutaj. Te kontury są tak puste, jak twoje konto bankowe. Będziemy wiercić na stanowisku "C".

Zapaliłem kolejnego papierosa i myślałem dłuższą chwilę. Zastanawiałem się, co im powiedzieć o wynikach moich pięciu lat poszukiwań i przemyśleń, trzymania się w ryzach by nikomu nawet nie napomknąć o tym. Byłem przekonany, że cokolwiek powiem, będzie już bez znaczenia, ale słowa nie chciały się dać wypowiedzieć. Zmusiłem się do mówienia.

- Pamiętasz Subhasha Yastre, faceta, który ma spelunkę, w której cię spotkałem. Przyleciał na Wenus jako wojskowy. Był specjalistą do spraw uzbrojenia. Specjalista do spraw uzbrojenia to nie zawód dla cywila, więc po ukończeniu służby otworzył kafejkę. Ale w służbie był wybitnym specjalistą. .

- To znaczy, że na terenie zakazanym jest broń hiczijska? - zapytała Dorrie.

- Nie. Nikt i nigdy nie znalazł hiczijskiej broni. Ale znaleziono tarcze strzeleckie. Miałem wręcz fizyczne opory przed opowiedzeniem dalszego ciągu, ale udało mi się.

- W każdym razie Sub Yastra twierdzi, że to były tarcze. Wojskowe szychy nie były tego pewne i jak przypuszczam, sprawę złożono obecnie w bazie ad acta. To, co znaleziono, to były trójkątne płyty z hiczijskiej wykładziny ściennej, tego niebieskiego, świecącego materiału, który tworzy ściany ich tuneli. Były ich tuziny, a na wszystkich znajdowały się wykresy promieniście rozchodzących się linii. Sub powiedział, że przypominają mu tarcze strzeleckie. I były poprzebijane przez coś, co spowodowało, że dziury były otoczone czymś miękkim jak talk. Czy słyszałaś o czymkolwiek, co by mogło tak zmienić hiczijską wykładzinę ścienną?

Dorrie chciała odpowiedzieć, że nie słyszała, ale Cochenour jej przerwał.

- To niemożliwe - powiedział po prostu.

- Zgadza się, tak właśnie powiedziały szyszki. Zdecydowali, że to się musiało stać w trakcie wytwarzania, dla jakichś hiczijskich przyczyn, o których nigdy się nie dowiemy. Ale Yastra tak nie uważa. Mówi, że wyglądały dokładnie tak, jak papierowe tarcze na strzelnicach na terenach wojskowych. Dziury nie były w tych samych miejscach, a linie wyglądały, jak mierniki celności. Są świadectwa, że ma racje. Nie dowody. Ale świadectwa.

- I myślisz, że w miejscu, które oznaczyliśmy jako "C" możesz znaleźć te armatę? Zawahałem się.

- Tak zdecydowanie bym tego nie określił. Raczej mam nadzieje. Ale jest jeszcze coś. Te tarcze znalazł pewien poszukiwacz skarbów prawie czterdzieści lat temu. Zostawił je, złożył meldunek o znalezisku, wyruszył na poszukiwanie dalszych i został zabity. W tych czasach to się często zdarzało. Nikt się sprawą nie interesował, póki nie przyjrzeni się im jacyś wojskowi i właśnie z tego powodu teren zamknięty jest tam gdzie jest. Oznaczyli miejsce, w którym według jego meldunku zostały one znalezione, opalikowali teren na tysiąc kilometrów wokoło i ogłosili go jako zakazany. I kopali i kopali. Odkryli z tuzin hiczijskich tuneli, ale większość pustych, a pozostałe



popękane i zniszczone.

- Wiec tam nic nie ma - mruknął zdumiony Cochenour.

- Tam nic nie znaleziono - poprawiłem go. - Ale w owych czasach poszukiwacze łągali na potęgę. Tamten podał fałszywe koordynaty znaleziska. W owym okresie mieszkał z pewną młodą kobietą, która później wyszła za mąż za człowieka nazwiskiem Allemang, a jej syn jest moim przyjacielem. Miał mapę. Właściwe koordynaty, o ile mogę się domyślać, bo symbole nawigacyjne były wówczas inne niż teraz, dotyczą prawie dokładnie miejsca, w którym się obecnie znajdujemy. Parę razy spotkałem tu ślady wierceń i myślę, że to on je zrobił.

Wyjąłem z kieszeni małą osobistą magnetofiszkę i włączyłem ją w obraz mapy pozornej. Pojawił się jeden znak: pomarańczowy "X".

- Tutaj, jak przypuszczam, możemy znaleźć broń, gdzieś koło tego iksa. I jak widzicie, jedynym niezbędnym tutaj stanowiskiem jest kochane, stare stanowisko "C".

Na minutę zapanowała cisza. Słuchałem dalekiego wycia wiatru za ścianą, czekałem co powiedzą. Dorrie zaniepokoiła się.

- Nie jestem pewna, czy chciałabym odnaleźć nową broń - powiedziała. - To wygląda... wygląda jak powrót do dawnych; złych czasów.

Wzruszyłem ramionami. Cochenour, powoli znów przychodząc do siebie, odezwał się:

- Przecież nie o to chodzi, czy naprawdę chcemy znaleźć broń, prawda? Chodzi o to, że chcemy znaleźć nienaruszone podziemie Hiczich, niezależnie od tego, co tam jest, wiec nie pozwolą nam wiercić. Tak? Najpierw nas zastrzelą, a potem spytają o nazwiska. Tak powiedziałeś?

- Tak powiedziałem.

- Wiec jak proponujesz przeskoczyć ten drobny problem?

Gdybym był człowiekiem prawdomównym odrzekłbym, że nie jestem pewien czy to możliwe. Uczciwie mówiąc wszystko wskazywało na to, że nas złapią i prawdopodobnie zastrzelą. Ale mieliśmy tak mało do stracenia, Cochenour i ja, że nie zadałem sobie trudu, by o tym uprzedzić. Powiedziałem natomiast:

- Postaramy się wystrychnąć ich na dudka. Odeślemy kapsułę, a ja zostanę z tobą, żeby wiercić. Jeśli pomyślą że odlecieliśmy, nie będą nas trzymać pod obserwacją i jedyne, czego możemy się obawiać, to schwywanie przez rutynowy patrol graniczny.

- Audee! - krzyknęła dziewczyna. - Jeśli ty i Boyce zostajecie tutaj... Ależ to znaczy, że ja mam odlecieć kapsułą, a przecież nie umiem jej pilotować.

- Tak, nie umiesz. Ale wystarczy, że pozwolisz jej pilotować się samej. Szybko parłem dalej:

- Och, zmarnujesz masę paliwa i będzie tobą mocno rzucało. Ale dostaniesz się na miejsce na auto - pilocie. On nawet zajmie się lądowaniem na Wrzecionie.

Nie musiało być to łatwe ani ładne; starałem się nie myśleć o tym co automatyczne lądowanie może zrobić z moją jedyną kapsułą. Niemniej istniało dziewięćdziesiąt dziewięć szans na sto, że ona to przeżyje.

- I co dalej? - spytał Cochenour.

W tym miejscu mój plan był mocno dziurawy, ale i o tym starałem się nie myśleć. ,

- Dorrie zgłosi się do mego przyjaciela Be - Gie Allemanga. Dam ci do niego list ze wszystkimi koordynatami i tak dalej, a on przyleci i nas zabierze. Z dodatkowymi zbiornikami będziemy mieli powietrze i energię na około czterdzieści osiem godzin od twego odlotu. To kupa czasu na to, byś się tam dostała, odnalazła Be - Gie i oddała mu list oraz by on przyleciał tutaj. Oczywiście jeśli się spóźni, będzie z nami krucho. Jeżeli nic nie znajdziemy, stracimy tylko czas. Ale jeśli znajdziemy...

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mówiłem, że to pewne - dodałem. - Powiedziałem tylko, że mamy szansę.

\*

Dorrie była bardzo miłą osobką, biorąc pod uwagę jej wiek i sytuację - Ale czegoś jej brakowało: wiary w siebie. Nigdy sobie jej nie wyrobiła. Otrzymywała ją z zewnątrz, ostatnio od Cochenoura, a wcześniej, biorąc pod uwagę jej wiek przypuszczam, że od tego kto był w jej życiu przed Cochenourem, pewnie ojca.

Najtrudniej było przekonać Dorrie, że potrafi odegrać swoją rolę..

- To się nie uda - powtarzała w kółko. - Przepraszam. To nie dlatego, że nie chciałabym pomóc. Chce, ale nie mogę. To się po prostu nie może udać.

No cóż, ale powinno.

A przynajmniej ja byłem przekonany, że powinno.

Okazało się jednak, że nie mieliśmy tego tak zrobić. Wraz z Cochenourem przekonaliśmy Dorrie, by zgodziła się spróbować. Spakowaliśmy niewielką ilość sprzętu potrzebnego poza kapsułą, poleciliśmy z powrotem do jaru i zaczęliśmy przygotowania do Wiercenia. Czulem się fatalnie, otepiały, z bolącą głową, niezdarny. A Cochenour, jak sądzę, miał też własne problemy. We dwóch udało nam się wepchnąć obudowę świdra do śluzy wyjściowej i podczas gdy ja pchałem ją z

zewnątrz od góry, Cochenour ciągnął z dołu i całe urządzenie się na niego zważyło. Nie zabiło go. Ale naruszyło mu skafander i złamało nogę. I tak skończył się mój pomysł wiercenia wraz z nim na stanowisku "C".

## XI

Nogawka skafandra została rozerwana na głębokość ośmiu czy dziesięciu warstw, ale zostało z niej dość, by utrzymać powietrze, choć może nie ciśnienie.

Najpierw sprawdziłem wiertło, by się upewnić, czy nie zostało uszkodzone. Nie było. Dopiero potem wtaszczyłem Cochenoura z powrotem do śluzu. To wyczerpało prawie wszystkie moje siły, biorąc pod uwagę sumę ciężarów naszych ciał i skafandrów, konieczność usunięcia wiertła z drogi i mój ogólny stan fizyczny. Ale dałem radę.

Dorrie była wspaniała. Cienia hysterii, żadnych głupich pytań. Wyciągnęliśmy go ze skafandra i zbadaliśmy. Był nieprzytomny. Miał skomplikowane złamanie nogi z przebiciem skóry odłamkami, krwawił z ust oraz nosa i zwymiotował wewnątrz hełmu. Biorąc wszystko pod uwagę wyglądał najgorzej ze wszystkich stuparoletnich starców na świecie, w każdym razie z żywych starców. Ale udar cieplny nie był na tyle mocny, by uszkodzić mózg, nadal działało jego serce, czy też czyjekolwiek serce to było, że tak powiem, wcześniej; było dobrą inwestycją, bo biło nadal. Krwawienie ustało samo, problemem było jedynie to paskudne złamanie nogi.

Dorrie wywołała dla mnie teren wojskowy, dotarła do Ewy Kolanko, dostała bezpośrednie połączenie z chirurgiem bazy. Powiedział mi, co robić. Najpierw żądał, bym spakował manatki i przyleciał do niego z Cochenourem, ale się sprzeciwiłem. Odpowiedziałem, że nie jestem w stanie pilotować, a podróż byłaby zbyt trudna. Dawał mi więc instrukcje krok za krokiem, a ja dość łatwo je wykonywałem: złożyłem złamanie, opatrzyłem ranę, zamknąłem ją chirurgicznym Velcro i klejem do mięśni, otoczyłem bandażem natryskowym i założyłem gips. Zabrało mi to prawie godzinę i Cochenour powinien był już odzyskać przytomność, gdyby nie to, że dałem mu zastrzyk nasenny.

Pozostało już tylko zmierzyć puls, oddech i ciśnienie krwi by zadowolić chirurga, oraz obiecać, że szybko odwiozę pacjenta do Wrzeciona. Gdy już skończyłem z chirurgiem, ciągle jeszcze niezadowolonym, że nie zgodziłem się przywieźć Cochenoura do bazy, sierżant Kolanko zgłosiła się ponownie. Wiedziałem, czego się domyśla.

- Hej, kochanie? Jak to się zdarzyło?

- Ogromny Hiczi wylazł z ziemi i ugryzł go - powiedziałem. - Wiem o czym myślisz i wiem, że masz spaczoną wyobraźnię. To był tylko wypadek.

- Z pewnością - odrzekła. - Okay. Chciałam tylko powiedzieć, że Vcale cię nie potępiam. - I

wyłączyła się..

Dorrie starała się umyć Cochenoura najlepiej jak mogła. Pomyślałem, że dość rozrzutnie używa nasze rezerwy wody. Zostawiłem ją przy tej robocie, sobie zaś zrobiłem kawy, zapaliłem papierosa, usiadłem i zacząłem myśleć.

Gdy Dorrie zrobiła co mogła dla Cochenoura, sprzątnęła najgorsze brudy i oddała SIĘ tak ważnemu zajęciu, jak poprawianie makijażu wokół oczu, miałem już świetny pomysł.

Dałem Cochenourowi zastrzyk na obudzenie, a Dorrie głaskała go i przemawiała do niego, gdy odzyskiwał przytomność. Ta dziewczyna nie potrafiła żywić do nikogo urazy. Ja potrafiłem. Kazałem mu wstać, by wypróbował swoją nogę wcześniej niż sam chciał. Z jego miny poznałem, że jest cały obolały. Ale mięśnie były w porządku.

Zdobył się nawet na uśmiech.

- Stare kości - oświadczył. - Wiem, że powinienem był pójść na wymianę, wapna. Tak się płaci za drobne oszczędności.

Usiadł ciężko z nogą wyciągniętą przed siebie. Zmarszczył nos.

- Przepraszam, że zapaskudziłem twoją śliczną czystą kapsułę - dodał.

- Chcesz się umyć? Zdziwił się.

- No, myślę, że powinienem to zrobić dość szybko...

- To zrób zaraz. Chce z wami obojgiem pogadać.

Nie sprzeciwił się. Wyciągnął tylko rękę, a Dorrie ją podtrzymała. Poszedł na wpół kulejąc, na wpół podskakując do umywalki. Prawdę mówiąc najgorszą robotę, już wykonała Dorrie, ale obmył sobie twarz i wypłukał usta. Gdy się odwrócił, by na mnie spojrzeć, był już w całkiem niezłej formie.

- Dobra, co jest grane? Rezygnujemy?

- Nie - odpowiedziałem. - Zrobimy to w inny sposób. . .

- Ależ on nie może - zawołała Dorrie. - Spójrz na niego, Audee! Ze skafandrem w takim stanie me przeżyje godziny, co dopiero mówić o pomocy w wierceniu.

- Wiem o tym i dlatego musimy zmienić plan. Będę wiercił sam. A wy we dwoje spłyniecie stąd kapsułą.

- Aha, dzielny chłop - odrzekł apatycznie Cochftnour. - Kogo chcesz nabierać? Wiesz, że to robota dla dwóch.

Zawahałem się.

- Niekoniecznie. Dawniej robili to samotni poszukiwacze, choć mieli nieco inne problemy. Zgadzam się, że będę miał ciężkie 48 godzin, ale musimy spróbować. Z jednego powodu. Nie mamy wyboru.

- Omyłka - odezwał się Cochenour. Poklepał Dorrie po tyłku. - Dziewczyna ma twarde mięśnie. Nie jest duża ale zdrowa. Po babce. Nie sprzeczasz się, Walthers. Pomyśl tylko. To tak samo bezpieczne dla Dorrie jak dla ciebie. We dwójkę jest szansa na wygraną. Samotnie nie masz żadnej.

Z jakiegoś powodu jego postawa mnie rozeźliła.

- Gadasz, jakby ona nie miała nic do powiedzenia.

- No cóż - odrzekła dosyć słodko Dorrie - jeśli o to idzie, to ty też nie. Doceniam, Audee, że chcesz bym się nie przemęczała, ale mówię ci uczciwie, że mogę pomóc. Masę się nauczyłam. A jeśli chcesz usłyszeć prawdę, jesteś w znacznie gorszym stanie niż ja.

Odpowiedziałem z ironią w głosie;

- Daj spokój. Możecie mi we dwoje pomagać przez mniej więcej godzinę przy przygotowaniach. A potem zrobimy jak powiedziałem. Żadnych sprzeciwów. Bierzemy się do roboty.

Zrobiłem dwa błędy. Pierwszy, że w ciągu godziny nie byliśmy gotowi, zabrało to przeszło dwie, a zanim skończyliśmy, kąpałem się we własnym pocie. Czułem się bardzo źle. Nie pamiętałem już o bólu ani nie martwiłem się mm, po prostu za każdym razem, gdy stwierdzałem, że moje serce jeszcze bije, niezmiernie mnie to dziwiło. Dorrie pracowała ciężiej niż ja. Była silna i chętna, jak to powiedziano, a Cochenour sprawdzał aparaturę i zadał jeszcze parę pytań, by się upewnić co do własnej części roboty, czyli pilotowania kapsuły. Wypiłem dwa kubki kawy mocno zatopionej ginem z mego prywatnego zapasu, wypaliłem ostatniego papierosa i odmeldowałem się w bazie wojskowej. Ewa Kolanko rozmawiała kokieteryjnie, choć była trochę zdziwiona.

Potem Dorrie i ja wygramoliliśmy się ze śluzy i zamknęliśmy ją za sobą, zostawiając Cochenoura z zapiętymi pasami w fotelu pilota.

Dorrie zatrzymała się na chwilę ze smutną miną, po czym chwyciła mnie za rękę i ciężkim krokiem podążaliśmy w stronę już zapalonego igloo. Wbiłem jej do głowy jak jest ważne, by trzymać się poza podmuchem z dwupaliwowych dysz. To pojęła doskonale, padła płasko na ziemię i nie ruszała się.

Ja nie byłem tak ostrożny. Gdy tylko zorientowałem się po płomieniu, że dysze nie są skierowane na nas, podniosłem głowę i patrzyłem jak Cochenour startuje w ulewie popiołu metali ciężkich. Był to całkiem niezły start. W podobnych okolicznościach jako "zły" określam całkowite zniszczenie kapsuły i śmierć lub kalectwo jednej lub więcej osób. Tego uniknął, ale kapsuła weszła

w drgania i ciężkie poślizgi, gdy tylko chwyciły ją porywy wiatru. Będzie miał ciężki lot o te paręset kilometrów na północ poza zasięg wykrywania z bazy.

Trąciłem Dorrie stopą. Z wysiłkiem stanęła na nogi. Wetknąłem przewód telefoniczny w gniazdko jej hełmu; radio mieliśmy wyłączone, bo mogły się zdarzyć patrole graniczne, których byśmy nie dostrzegli.

- Czy już zmieniłaś zamiar? - zapytałem.

Pytanie było dość szkaradne, ale ładnie na nie zareagowała. Zachichotała. To widziałem, bo staliśmy twarzami do siebie i w cieniu hełmu widziałem jej twarz. Ale nic nie słyszałem, póki nie przypomniała sobie, że trzeba wcisnąć guzik telefonu, a wtedy doszło do mnie:

- ...romantycznie, tylko we dwoje.

No, na takie pogaduszki nie było czasu. Odrzekłem podrażnionym tonem:

- Przestańmy tracić czas. Pamiętaj, co ci powiedziałem. Mamy powietrze, wodę i energię na 48 godzin. Nie licz na żaden margines. Jedno czy drugie może starczyć na odrobinę dłużej, ale żeby wyżyć potrzeba wszystkich trzech. Staraj się nie pracować za ciężko, bo im powolniejsza przemiana materii, tym mniej ma do roboty system wydalania, jeśli znajdziemy tunel i wejdziemy tam, może będziemy mogli coś zjeść z żelaznych porcji, pod warunkiem, że nie będzie przebity ani zbyt nagrany przez ćwierć miliona lat. W przeciwnym razie nawet nie myśl o jedzeniu. A jeśli idzie o spanie, zapomnij...

- I kto teraz traci czas? Wszystko to już mi mówiłeś. - Ciągle jeszcze było jej wesoło. Wpełzliśmy więc do igloo i wzięliśmy się do roboty.

Najpierw musieliśmy usunąć trochę gromadzącego się gruzu, bo wiertło zostawiliśmy w ruchu. Oczywiście zwykle robi się to odwracając kierunek ruchu i obrotu głowic. Tego nie mogliśmy zrobić. Oznaczałoby to bowiem przerwę w drażnieniu szybu. Musieliśmy to wykonać trudniejszym sposobem, czyli ręcznie.

No i było ciężko. Po pierwsze skafandry żaroodporne nie są wygodne. Gdy się w nich pracuje, są wręcz okropne. A gdy praca jest bardzo ciężka fizycznie i utrudniona przez ciasnotę wewnątrz igloo, w którym już mieszczą się dwie osoby i działająca wiertnia, jej wykonanie jest prawie niemożliwe.

Ale nie mając wyboru, dokonaliśmy tego.

Cochenour nie skłamał, Dorrie była silna jak mężczyzna. Nie wiadomo było tylko, czy to wystarczy. A drugie pytanie, które męczyło mnie z każdą minutą bardziej, było czy ja jestem silny jak mężczyzna. Ból głowy wprost rozsadzał mi czaszkę a przy nagłych ruchach miałem przed oczami mroczki. Znachornia obiecała mi trzy tygodnie do początku ostrej niewydolności wątroby, ale nie przy takiej pracy. Doszedłem do wniosku, że i tak już przekroczyłem mój czas. Wniosek był

niepokojący.

Szczególnie, gdy po dziesięciu godzinach zdałem sobie sprawę, że jesteśmy niżej niż według sondowania miał znajdować się tunel, a z otworu nie wydobywa się żaden świetlisty niebieski gruz.

Wywierciliśmy pusty szyb.

\*

Gdybyśmy mieli teraz koło siebie kapsułę, byłby to tylko kłopot. Może bardzo duży kłopot. Ale nie kieszka. Wróciłbym wtedy do kapsuły, umył się, pospał przez całą noc, zjadł posiłek i sprawdził komputer. Wierciliśmy w niewłaściwym miejscu. Dobra, następnym krokiem powinno być wiercenie we właściwym. Zbadać teren, wybrać punkt, zapalić następne igloo, włączyć świdry i próbować, próbować od nowa.

To powinniśmy byli zrobić. Ale nie mogliśmy. Nie mieliśmy kapsuły. Nie mieliśmy możliwości by spać czy jeść. Nie mieliśmy więcej igloo. Nie mieliśmy komputerów do przestudiowania. A ja z każdą minutą czułem się parszywiej.

Wypelzłem z igloo, usiadłem zasłonięty od wiatru i zagapiłem się na smagane wichrem żółtozielone niebo.

Na pewno można było coś zrobić, gdybym tylko mógł to wymyśleć. Zmusiłem się do myślenia.

Ano, popatrzmy. Może mógłbym zerwać igloo z podstawy i przenieść je na inne miejsce?

Nie. Mogłem oczywiście zerwać je za pomocą głowic, ale w chwili gdy zostanie uwolnione chwycą je wiatry i to będzie oznaczało pa - pa, kochanie. Nigdy go więcej nie zobaczę. Do tego nie da się go ponownie zahermetyzować.

A co z wierceniem bez igloo?

Możliwe, oeniłem. Ale bezsensowne. Przypuśćmy, że będziemy mieli szczęście i dowiercimy się gdzie trzeba? Bez igloo, chroniącym przed dwudziestu tysiącami milibarów gorących gazów, tak czy inaczej zniszczymy zawartość.

Poczułem, że coś trąca mnie w ramie i odkryłem, że Dorrie siedzi koło mnie. Nie pytała o nic, nie próbowała nic mówić. Myślę, że wszystko zrozumiała bez słowa.

Według chronometru w moim skafandrze upłynęło piętnaście godzin. Zostało trochę ponad trzydzieści nim Cochenour wróci by nas zabrać. Nie było sensu siedzieć tu cały ten czas, ale z drugiej strony nie widziałem żadnego sensu w robieniu czegokolwiek innego.

Oczywiście, pomyślałem, zawsze mogę przez chwile pospać... i nagle obudziłem się i zrozumiałem, że to właśnie zrobiłem.



Dorrie spała obok.

Możecie się dziwić, jak człowiek może spać w środku południowo-biegunowej burzy termicznej. To wcale nie trudne. Wystarczy, że jest się zupełnie wyczerpanym i zupełnie zdesperowanym. Śpi się nie dla zabicia czasu, lecz by odciąć się od świata, gdy jest zbyt parszywy by nań patrzeć. Jak nasz.

Ale Wenus jest ostatnią ostoją etyki purytańskiej. Zwariowaną. Wiedziałem, że praktycznie jestem trupem, ale czułem, że muszę coś zrobić. Odsunąłem się ostrożnie od Dorrie, sprawdziłem, że jej skafander jest przypięty pasem do pierścienia uszczelniającego u podstawy igloo i wstałem. By wstać musiałem bardzo się skupić, co było równie dobre na niemyślenie o zmartwieniach, jak sen.

Przyszło mi do głowy, że może są ciągle jeszcze żywi Hiczi w tunelu, którzy usłyszeli jak pukamy i otworzyli nam wejście na dnie szybu. Wpełznąłem więc do igloo by popatrzeć.

Dla pewności zajrzałem w głąb szybu. Nie. Nie otworzyli. Była to zwyczajna ślepa dziura w ziemi, znikająca w brudnym, gęstym mroku tam, gdzie nie sięgało światło mego reflektora hełmowego. Obrzuciłem przekleństwami Hiczich, którzy nam nie pomogli i kopnąłem w głąb szybu parę odłamków na ich nie istniejące głowy.

Świerzbila mnie etyka purytańska i zastanawiałem się., co powinienem zrobić. Umrzeć? No można, ale to i tak szło z wystarczającą szybkością. Coś konstruktywnego?

Przypomniałem sobie, że każde miejsce należy zostawić tak, jak się je zastało, podniosłem więc wiertła kołowrotem - z przekładnią jeden do ośmiu i poukładałem je porządnie. Znowu kopnąłem trochę odłamków do niepotrzebnej dziury, by zrobić sobie miejsce, usiadłem i zacząłem myśleć.

Zastanawiałem się, co zrobiliśmy nie tak, używając metody stosowanej przy rozwiązywaniu zadań, szachowych.

Ciągle jeszcze miałem w pamięci zarys ekranu. Był jasny i wyraźny, więc na pewno coś tu było. Po prostu nie powiodło nam się i spudłowaliśmy.

Ale dlaczego spudłowaliśmy?

Po pewnym czasie miałem już, jak sądziłem, odpowiedź.

Ludzie w rodzaju Dorrie czy Cochenoura wyobrażają sobie, że kontur sejsmiczny to coś, jak mapa urządzeń podziemnych śródmieścia Dallas, z zaznaczonymi wszystkimi ściekami, uzbrojeniem terenu i siecią wodociągową. Wystarczy więc kopać w miejscu, gdzie są znaki, by znaleźć co się chce.

Ale to nie tak. Kontur pojawia się jako coś w rodzaju mglistego przybliżenia. Tworzy się godzinami przez pomiary echa mikrowybuchów. Wygląda jak pasmo pajęczyny, p wiele szersze niż sam tunel i rozplywające się po brzegach. Gdy się je ogląda, można się dowiedzieć, że gdzieś w mrokach jest coś, co je wywołuje. Może granica fazowa skały albo złoża żwiru. Gdy ma się szczęście jest to podziemie Hicich. Cokolwiek to jest, istnieje gdzieś tam z pewnością, ale nie wiadomo dokładnie gdzie. Jeśli tunel ma dwadzieścia metrów średnicy, co jest właściwą średnicą dla hiczijskich tuneli łącznikowych, kontur cieniowy na pewno pokaże szerokość pięćdziesiąt, może nawet i sto.

Gdzie więc kopać?

Na tym polega sztuka poszukiwania. Trzeba zgadywać na podstawie posiadanych informacji.

Można wiercić dokładnie w środku geometrycznym, o ile da się zobaczyć, gdzie jest środek. To najłatwiejszy sposób. Można wiercić tam, gdzie cienie są najgłębsze. Tak postępują średnio bystry poszukiwacze i prawie co drugi raz im się udaje. Można też robić to co ja, to znaczy starać się myśleć jak Hiczi. Patrzy się na kontur, jak na całość i zastanawia, jakie punkty mógł on łączyć. Następnie wyznacza w wyobraźni drogę między nimi, to znaczy jak zaplanowałbyś tunel, gdybyś był hiczijskim inżynierem kierującym budową i wierci gdzieś na tej linii.

To właśnie zrobiłem, ale oczywiście zrobiłem to źle. Myślało mi się mętnie, ale zacząłem dochodzić do wniosku, że wiem co zrobiłem.

Wyobraziłem sobie kontur. Właściwym miejscem wiercenia było to, na którym posadziłem kapsułę, ale oczywiście nie mogłem tam ustawić igloo, bo mi kapsuła przeszkadzała. Więc ustawiłem je z dziesięć jardów dalej na stoku jaru.

Przekonany byłem, że o te dziesięć jardów spudłowaliśmy.

Byłem zadowolony z siebie, że do tego doszedłem, choć nie wiem, jaką w praktyce mogłoby to stanowić różnicę. Gdybym miał jeszcze jedno igloo, chętnie zacząłbym na nowo, zakładając, że wytrzymam tak długo. Ale to było bez znaczenia, bo nie miałem drugiego igloo.

Usiadłem więc na brzegu ciemnego szybu, kiwając z uznaniem głową nad sposobem, w jaki rozwiązałem problem, machając nogami i od czasu do czasu zrzucając odłamki do środka. Sądzę, że było to coś w rodzaju pragnienia śmierci, bo od czasu do czasu przychodziło mi do głowy, że najlepiej byłoby skoczyć w dół i zasypać się gruzem.

Ale etyka purytańska nie życzyła sobie, bym tak postąpił. W każdym razie to rozwiązywałoby tylko moje osobiste problemy. Nic by nie dało miłej Dorrie Keefer, pochrapującej na zewnątrz w huraganie termicznym.

Zacząłem się zastanawiać co mnie obchodzi Dorrie. Był to dość miły temat rozmyślań, ale jakby smutnawy.

Zacząłem znowu myśleć o tunelu.

Dno szybu nie mogło być więcej oddalone od tunelu niż o parę jardów. Przyszło mi do głowy, by skoczyć na dno i dodrapać się, gdzie trzeba rękawicami. Wyglądało to na dobry pomysł. Nie wiem ile w nim było dziwactwa, a ile fantazjowania chorego faceta, ale ciągle myślałem jakby to fajnie było, gdyby w środku jeszcze siedzieli Hiczi, a gdy się dodrapie do niebieskiej wykładziny mogę po prostu grzecznie zastukać a oni otworzą i mnie wpuszczą. Widziałem nawet jak powinni by wyglądać: dość przyjaźni i bogom podobni. Byłoby bardzo miło spotkać Hicziego, żywego i mówiącego po angielsku. Mógłbym zapytać:

- Hiczi, do czego naprawdę, używaliście tych przedmiotów, które nazywamy wachlarzami modlitewnymi?

Albo:

- Hiczi, czy masz w apteczce coś, co by mnie uchroniło od śmierci? Albo też:

- Hiczi, przepraszam, że ci nabałaganiliśmy przed domem, postaram się to sprzątnąć.

Zepchnąłem do szybu jeszcze trochę, odłamków. Nie miałem nic lepszego do roboty, a kto wie, może im się to spodoba. Po chwili był już wypełniony do połowy, a mnie zabrakło' odłamków, bo pozostałe wypchnąłem z igloo, a nie miałem siły by po nie pójść. Zacząłem sobie szukać czegoś innego do roboty. Nastawiłem na nowo głowice, wymieniłem stępione ostrza na ostatnie dobre, jakie nam zostały, wycelowałem je mniej więcej w kierunku dna jaru pod kątem dwudziestu stopni i włączyłem.

Dopiero gdy zauważyłem, że Dorrie stoi obok mnie i pomaga trzymać głowice, podczas pierwszych jardów wiercenia zrozumiałem, że coś postanowiłem.

Czemu nie spróbować ukośnego wiercenia? Czy mamy lepsze rozwiązanie?

Nie mieliśmy. Wierciliśmy.

Gdy wiertła przestały buksować i zaczęły wgryzać się systematycznie w skałę, a my mogliśmy przestać się nimi zajmować, opróżniłem miejsce pod ścianą igloo i wypchnąłem odłamki. Potem po prostu usiedliśmy patrząc, jak wiertła wyrzucają kawałki skały do starego szybu. Pięknie się napełniał. Milczeliśmy. I znowu zasnąłem.

Nie obudziłem się póki Dorrie nie zaczęła mnie walić po głowie. Siedzieliśmy zagrzebani w odłamkach, ale to nie była tylko skała. Świeciły niebiesko, tak mocno, że raziły mnie w oczy.

Głowice musiały już parę godzin skrobać ściany hiczijskiego tunelu. Nawet wryły w nich zagłębienia.

Popatrzyliśmy w dół. Widać było patrzące na nas okrągłe, jasne, błękitne oko ściany tunelu. Był prześliczny i należał do nas.

Nawet wtedy nie zaczęliśmy rozmawiać.

Jakimś sposobem, kopiąc i wijąc się, udało mi się przepchnąć przez gruz do rękawa. Zamknąłem śluzę, wypchnąwszy na zewnątrz parę metrów sześciennych kamienia. Po czym zacząłem grzebać w stosie odpadków w poszukiwaniu wiertel ogniowych. Wreszcie je znalazłem. Sam nie wiem jak. Udało mi się je ustawić i przygotować. Zapaliłem je. Ujrzałem jasny krąg światła wybiegającego z szybu i kładącego się plamami na suficie igloo.

Nagle krótko zaskowyczał gaz i rozległ się łoskot luźnych odłamków na dnie szybu, spadających w dół.

Przekopaliśmy się do tunelu Hiczich. Był nie uszkodzony i czekał na nas. Nasza ślicznotka była nietknięta. Wzięliśmy jej dziewictwo z całą miłością i szacunkiem, i weszliśmy w nią.

## XII

Musiałem - znowu zemdleć, a gdy przyszedłem do siebie leżałem na podłodze tunelu. Hełm miałem otwarty. Boczne zapięcie skafandra również. Oddychałem stęchłym śmierdzącym powietrzem, które liczyło ćwierć miliona lat i pachniało każdą minutą tego czasu. Ale to było powietrze. Gęstsze niż normalne ziemskie i znacznie wilgotniejsze; ale ciśnienie cząstkowe tlenu miało takie samo. W każdym razie nadawało się do oddychania. Udowodniłem to wdychając je i nie umierając.

Obok mnie leżała Dorrie Keefer.

W niebieskim świetle hiczijskich ścian jej cera wyglądała nienadzwyczajnie. Początkowo nie byłem nawet pewien, czy żyje. Ale niezależnie od swego wyglądu puls miała dobry, płuca funkcjonowały, a gdy poczuła, że ją trącam, otworzyła oczy.

- Zdążyliśmy - powiedziała.

Usiedliśmy uśmiechając się do siebie głupawo jak karnawałowe maski w niebieskim hiczijskim świetle.

Zrobić coś więcej w tym momencie było zupełnie niemożliwe. Byłem zbyt zajęty przyjmowaniem do wiadomości, że nie umarłem. Nie chciałem narazić tego mało prawdopodobnego faktu poruszaniem się. Ale nie było mi wygodnie i po chwili zrozumiałem, że jest mi bardzo gorąco. Zamknąłem hełm, by odciąć się od gorąca, ale smród wewnątrz był tak okropny, że otworzyłem go ponownie, doszedłszy do wniosku, że upał jest łatwiejszy do wytrzymania.

Wtedy przyszła mi do głowy myśl, że gorąco jest tylko nieprzyjemne, a nie zabójcze. Przenikanie energii przez powierzchnie hiczijskiej wykładziny ściennej jest bardzo powolne, ale nie dość powolne jak na ćwierć miliona lat. Mój tępy stary mózg przetrawiał tę myśl przez pewien czas i doszedł do następującego wniosku: przynajmniej do niedawna, parę stuleci a najwyżej tysiącleci temu, tunel był chłodzony. Oczywiście automatycznie, pomyślałem mądrze. Bomba, już to samo jedno warte było odkrycia. Uszkodzona czy nie, maszyna będzie warta majątek...

To zaś mi przypomniało, dlaczego tu jesteśmy. Popatrzyłem wzdłuż korytarza w obu kierunkach, by ujrzeć, jakie to skarby na nas czekają.

Gdy byłem uczniakiem w Amarillo Central, moją ulubioną nauczycielką była kulawa pani zwana panną Stevenson, która miała zwyczaj opowiadać nam historie zaczerpnięte od Bulfincha i Homera. Cały jeden weekend zmarnowała sobie, by mi opowiedzieć o facecie, który chciał być bogiem. Był królem małej miejscowości w Lydii, ale chciało mu się więcej. Bogowie pozwolili mu przyjść na Olimp i siedział tam, póki nie strzelił byka. Nie pamiętam jakiego; miało to coś wspólnego z psem i paskudną sprawą skłonienia bogów podstępem, by zjedli jego syna. Cokolwiek zmalował, skazali go na samotne uwięzienie na wieczność w piekle, stojącego po szyje w zimnym jeziorze bez możliwości napicia się wody. Facet nazywał się Tantal, a ja w tym hiczijskim tunelu miałem wiele z nim wspólnego. Bezpański skarb był na miejscu, fakt, ale nie mogliśmy położyć na nim ręki. Wcieliśmy się nie w główny tunel, tylko w coś w rodzaju zakrzywionego bocznego objazdu, zablokowanego z obu końców. Przez na wpół uchylone wrota byliśmy w stanie zajrzeć do głównego chodnika. Widzieliśmy hiczijskie maszyny i bezkształtne stosy przedmiotów, które kiedyś mogły być pojemnikami, teraz zmurszały, z zawartością rozsypaną po podłodze. Ale nie mieliśmy siły do nich dotrzeć.

Przeszkadzały nam skafandry. Bez nich może bylibyśmy w stanie się prześlizgnąć, ale czy starczy nam siły, by je włożyć na czas przed spotkaniem z Cochenourem? Wątpliwe. Stałem tam z hełmem przyciśniętym do wrót, czując się jak Alicja zaglądająca do ogrodu, ale bez butelki z napisem "Wypij mnie", a potem znów pomyślałem o Cochenourze i sprawdziłem czas.

Od chwili jego odlotu minęło czterdzieści sześć godzin z minutami. Powinien wrócić lada chwila.

A jeśli wróci gdy tu jeszcze będziemy, otworzy rękaw, by nas poszukać i zapomni zamknąć śluzy po obu końcach, rąbnie w nas dwadzieścia tysięcy milibarów gazu trującego. Oczywiście nas zabije, ale prócz tego zniszczy dziewiczy tunel. Korozja tarciowa takiej implozji gazu rozwali wszystko.

- Musimy wracać - powiedziałem Dorrie, pokazując jej zegarek. Uśmiechnęła się.

- Na pewien czas - odrzekła, odwróciła się i poszła przodem.

\*

Po wesołym, błękitnym lśnieniu hiczijskiego tunelu igloo zdawało się ciasne i nędzne, a najgorsze było, że nawet nie mogliśmy w nim zostać. Cochenour może będzie pamiętał, by zamknąć śluzy po obu końcach rękawa. A może nie. Nie mogłem ryzykować. Próbowałem wymyśleć sposób zatkania szybu, może wpychając wszystkie odłamki z powrotem, ale chociaż mój mózg nie funkcjonował zbyt dobrze, rozumiałem, że to głupi pomysł.

Musieliśmy czekać na zewnątrz w wietrznej wenusjańskiej pogodzie, ale nie za długo. Zegareczek obok wskaźnika systemu ochrony życia, które już wszystkie były daleko w strefie czerwonej, pokazywał, że Cochenour już powinien był wrócić.

Przepchnąłem Dorrie przez rękaw, precyzyjnie się za nią, zamknąłem śluzy i zaczęliśmy

czekać.

Czekaliśmy długo, Dorrie przewieszona na rękawie, a ja przytulony obok niej, trzymając się jej i kotw mocujących. Mogliśmy rozmawiać, ale sądziłem, że zasnęła lub straciła przytomność, bo leżała bez ruchu. A poza tym wetknięcie kabla do gniazdka telefonicznego wydawało mi się potwornie meczącym zadaniem.

Czekaliśmy naprawdę długo, a Cochenour nadal się nie pojawiał.

Próbowałem to przeanalizować.

Mógł się spóźnić z całego szeregu powodów. Mógł się rozbić. Mogli go zatrzymać wojskowi. Mógł się zgubie.

Ale była też inna możliwość, wyglądająca najprawdopodobniej. Z tego co wskazywał zegarek wynikało, że był już spóźniony o pięć godzin, a ze wskaźników ochrony, że byliśmy tuż pod granicą wyczerpania energii, blisko niej co do powietrza i powyżej dla wody. Gdybyśmy przez pewien czas nie oddychali hiczjiskim powietrzem, byłibyśmy już martwi. A o rym Cochenour nie wiedział.

Powiedział, że nie umie przegrywać. Wymyślił sobie ostatni manewr w grze w taki sposób, by nie przegrać. Widziałem go wyraźnie, jakbym siedział z nim w kapsule. Widziałem, jak patrzy na swój zegarek, przygotowuje sobie lekki lunch i puszcza muzykę, czekając aż umrzemy.

Ta myślenie mnie nie przerażała, byłem zbyt bliski śmierci, by nie traktować jej rodzaju jako sprawy technicznej i zbyt zmęczony uwięzieniem w śmierzącym skafandrze, by nie pragnąć jakiegokolwiek wyzwolenia. Ale w grę wchodziła dziewczyna i ostatnia, malutka rozsądna myślenie, która jeszcze kołatała się. w moim na wpół zatrutym mózgu mówiła, że ze strony Cochenoura było nieuczciwie zabijać nas oboje. Mnie tak. Ale nie ją. Walilem w jej skafander tak długo aż się poruszyła, a po pewnym czasie udało mi się zmusić ją do powrotu do rękawa.

Dwóch rzeczy Cochenour nie wiedział. Nie wiedział, że znaleźliśmy powietrze nadające się do oddychania i że możemy podłączyć się do baterii wiertła, gdzie jeszcze było napięcie. Z całym tym pstrym zamętem w głowie byłem jeszcze przynajmniej na tyle zdolny do rzeczowego myślenia. Jeśli nie będzie zbyt długo czekał, możemy go zaskoczyć. Możemy żyć jeszcze parę godzin, a wtedy, gdy przyleci by znaleźć nasze trupy i przekonać się, co wygrał dla siebie, będę na niego czekał.

\*

I tak właśnie zrobił.

Musiało być dla niego okropnym wstrząsem, gdy wszedł do igloo z kluczem francuskim w dłoni, pochylił się nade mną i przekonał, że tam gdzie spodziewał się zastać dobrze wypieczone ludzkie mięso, zastał mnie przy życiu i zdolnego się poruszać. Wiertło wbiło mu się prosto w klatkę piersiową. Nie widziałem jego twarzy, ale mogę sobie wyobrazić jej wyraz.

Po tym zostało jeszcze do zrobienia cztery czy pięć rzeczy niewykonalnych. Na przykład wyciągnąć Dorrie przez rękaw i wepchnąć do kapsuły. A także wleźć tam za nią, zamknąć śluzę i zaprogramować kurs. Wszystkie takie nie do zrobienia rzeczy i jeszcze jedna, najtrudniejsza ze wszystkich, ale bardzo ważna dla mnie.

Przy lądowaniu rozwaliłem kapsułę, ale byliśmy oboje w pasach i skafandrach, więc gdy przybyła załoga naziemna zbadać wypadek, Dorrie i ja byliśmy jeszcze żywi.



## XIII

Musieli mnie łątać i nawadniać przez trzy dni, zanim w ogóle pomyśleli o wmontowaniu mi nowej wątroby. W dawnych czasach trzymaliby mnie pod narkozą przez cały czas, ale oczywiście musieli budzić mnie co parę godzin, bym się nauczył sterowania ze sprzężeniem zwrotnym działania mojej wątroby. Nienawidziłem tego, bo był to czas wymiotowania, boiu i dręczenia przez doktora Moriusa i pielęgniarki, i chciałem, żeby powróciły dawne dobre czasy. Z tym oczywiście wyjątkiem, że w dawnych czasach już bym nie żył.

Ale na czwarty dzień prawie nie odczuwałem bólu, jeśli się nie ruszałem i pozwolono mi także pić ustami zamiast przeciwnym końcem.

Zdałem sobie sprawę, że jeszcze trochę pożyje, rozejrzałem się po otoczeniu i spodobało mi się.

We Wrzecionie nie istnieją pory roku, ale Znachornia jest pełna sentymentu dla tradycji i więzi z Planetą - Matką. Na płytach ściennych wyświetlano widoczki białych kędzierzawych obłoków, a powietrze z kanałów wentylacyjnych pachniało zielonymi liśćmi i bzem.

- Najlepsze wiosenne życzenia - powiedziałem do doktora Moriusa.

- Zamknij się. - odrzekł, przesuwając parę igieł powtykanych w mój brzuch i studiując wskaźniki. - Hm. - Zacisnął usta, wyciągnął parę. igieł i oświadczył: - No, popatrzmy sobie co tam jest, Walthers. Wyłączyliśmy sztuczny obieg śledzionowo-żylny. Twoja nowa wątroba działa dobrze, choć nie wydalasz produktów przemiany materii tak szybko jak powinieneś. Twojej równowadze jonowej przywróciliśmy poziom prawie przyzwoity, jak na człowieka, a większość twoich tkanek ma już w sobie nieco wilgoci. W sumie - podrapał się w głowę - powiedziałbym, że żyjesz, można więc założyć, że operacja się udała.

- Doktorze, nie bądź taki dowcipny - odrzekłem. - Kiedy stąd wychodzę?

- Chcesz zaraz? - zapytał z namysłem. - To łóżko może nam się przydać. Mam masę płatnych czekających pacjentów.

Otóż jedną z dobrych stron krążenia w mózgu krwi zamiast trującej zupy, którą dotychczas musiałem żyć było to, że potrafiłem myśleć w miarę, jasno. Wiedziałem więc od razu, że żartuje; nie znajdowałbym się tutaj, gdybym sam nie był płatnym agentem w taki czy inny sposób i chociaż nie

wiedziałem w jaki, byłem gotów trochę poczekać, by się tego dowiedzieć.

Ale bardziej interesowało mnie wydostanie się ze Znachorni. Wiec zapakowali mnie w pieluszki i zawieźli na fotelu przez całe Wrzeciono do lokalu Sub Vastry. Dorrie była tam już przede mną, a Trzecia Yastry biegła zaaferowana wokół nas obojga, podając rosół z jagnięcia i ten płaski twardy chleb, który oni tak lubią, aż wreszcie zaprowadziła nas do pokoju na długi, przyjemny odpoczynek. Było tam tylko jedno łóżko, ale Dorrie nie robiło to różnicy, a tak czy inaczej w tym momencie był to akademicki problem. Później już nie tak akademicki. Po paru dniach takiej kuracji wstałem bardziej zdrowy niż kiedykolwiek.

Wtedy też dowiedziałem się kto zapłacił za mnie rachunek w Znachorni. Przez prawie minutę miałem nadzieje, że to ja, niemożliwie bogaty dzięki łupom z tunelu, ale wiedziałem, że to niemożliwe. Pieniądze mogliśmy zrobić tylko cichaczem, a oboje byliśmy zbyt bliscy śmierci wróciwszy do Wrzeciona, by cokolwiek ukryć.

Wiec zwalili się tam wojskowi i wszystko zabrali, ale okazali, że mają serce. - W zaniku i skamieniałe, ale jednak serce. Wleźli do podziemi jeszcze gdy brałem przez sen lewatywy z glukozy i to co znaleźli zrobiło im wystarczającą przyjemność, by zdecydować, że mam prawo do jakiegoś znaleźnego. Niewielkiego, prawdę powiedziawszy. Okazało się tego dość na zapłacenie czeków z wątpliwym pokryciem, które podpisywałem by sfinansować wyprawę, honorarium chirurga oraz kosztu pobytu w szpitalu. Zostało jeszcze tyle reszty, byśmy mogli wpłacić pierwszą ratę. na własną chatę, hiczijską.

Przez pewien czas męczyło mnie, że się nie dowiem co tam znaleźli. Próbowiałem nawet upić sierżanta Kolanko, gdy przyleciała do Wrzeciona na urlop. Ale Dorrie była przy tym, wiec jak tu upić jedną dziewczynę, gdy druga cię przy tym pilnuje? Prawdopodobnie Ewa Kolanko i tak nic nie wiedziała. Prawdopodobnie nie wiedział nikt, prócz specjalistów do spraw uzbrojenia. Ale coś tam musiało być, biorąc pod uwagę nagrodę pieniężną, a przede wszystkim to, że nieścigali mnie za wkroczenie na teren wojskowy. Tak wiec we dwoje dawaliśmy sobie radą. Albo we troje.

Okazało się, że Dorrie umie dobrze sprzedawać ognioperły Ziemiakom - turystom, szczególnie gdy jej ciąża stała się. widoczna. Utrzymywała nas do początku pełni sezonu, a gdy ten się zaczął przekonałem się, że jestem czymś w rodzaju miejscowej znakomości, dzięki czemu ugadałem sobie pożyczkę, bankową na nową kapsułę. Powodziło się wiec nam całkiem nieźle. Obiecałem, że jeśli nasze dziecko okaże się chłopcem, to się z nią ożenię, ale prawdę mówiąc zrobię to tak czy tak. Była mi wielką pomocą, szczególnie przy moim prywatnym i osobistym planie wówczas przy szybie. Nie mogła wiedzieć czemu tak chce byśmy zabrali ciało Cochenoura, ale się nie sprzeczała i choć była chora i nieszczęśliwa, pomogła mi wcisnąć je do śluzu kapsuły.

Prawdę mówiąc bardzo go potrzebowałem.

Oczywiście nie jest to całkiem nowa wątroba. Być może nie jest nawet mało używana. Bóg tylko wie, gdzie Cochenour ją kupił, w każdym razie nie należała do jego oryginalnego wyposażenia. Ale działa. I choć był to sukinsyn, w jakiś sposób go lubiłem i zupełnie mi nie przeszkadza fakt, że

mam z niego kawałek zawsze przy sobie.

**KONIEC**